Nr. 20. Warszawa, dnia 3 (15) Maja 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BUTA NIEMIECKA.

Rada państwa w Wiedniu obradowała w dwóch ostatnich dniach przeszłego tygodnia nad trzema aż oskarżeniami niemieckiemi, które ściągnął na siebie p. Badeni przez wydanie rozporządzenia o równouprawnieniu w urzędach państwowych w Czechach języka czeskiego z niemieckim. Oskarżycielom nie szło o nic mniejszego, tylko o oddanie pięciu ministrów, podpisanych na rozporządzeniu, w tej liczbie i Gleispacha, ministra od prawa i sprawiedliwości, pod sąd za naruszenie właśnie prawa i sprawiedliwości. Jak wyglądają te dwa ideały w głowach wichrzycieli, narzucających się im na obrońców? Zaraz pierwszego dnia bitwy deputowany Wolf, jeden z wnioskodawców, po wymajaczeniu dowodów, że rozporządzenie sprzeciwia się art. 19 konstytucyi z r. 1867, nie wahał się rzucić obelgi, iż Czesi, Słowieńcy, Polacy i wszelkie inne narodowości Habsburgii mniejszą mają wartość (*sind minderwerthig*) od Niemców: zatem i językowi niemieckiemu należy się miejsce uprzywilejowane.

Oburzenie było bardzo naturalnem. Powstała wrzawa, której uciszyć nie zdołał prezydujący; musiał obrady zawiesić. Po rozpoczęciu ich na nowo gorączka nie ustąpiła. Niemcy nie przestawali piorunować; rząd, stronnictwa obrażone i do federalizmu skłonne nie przestawały napaści odpierać. P. Gleispach wytłómaczył, że art. 19, przepisujący drogę prawodawczą, a nie administracyjną, na jaką weszło było ministeryum, wydając swe rozporządzenie, nie stosuje się do danego wypadku, gdyż nikt tu nie chce nikomu wydzierać języka krajowego, ministrowie nakazują tylko urzędnikom swoim, aby umieli po czesku i gotowi byli w potrzebie władać obu językami krajowymi. Oto cała zbrodnia i za nią pod sąd! Istotną tajemnicą tego srogiego nierozumu Niemców jest rozczarowanie, jakiego doznali. Zdawało im się, że język niemiecki będzie miał w Czechach przywilej na wieki wieków w urzędach państwowych; zdawało im się, że wbrew ich woli rząd nic nawet w zakresie władzy swej przedsięwziąć się nie poważy: a tu jedno rozporządzenie ministeryalne zmiata odrazu całą wspaniałość niemieckiej pychy.

Izba d. 10 b. m. odrzuciła wszystkie trzy wnioski. P. Badeni z czterema kolegami swymi nie pójdzie pod sąd; a gdyby nawet poszedł, oczyszczenie sądowe dałoby mu tryumf polityczniе już doniosły. Nie w tych wygranych przecież i tryumfach tkwi najważniejszy moment całego zatargu. Napaść i obrona odsłoniły dwie prawdy: pierwszą, że Niemcy dążą do odzyskania stanowiska rządzącego całością Przedlitawii, a znaczny ich odłam objawia ciążenie po za Austryę do wielkiej ojczyzny niemieckiej; drugą, że Przedlitawia na rozdrożu między federalizmem a centralizmem, po wyplenieniu konstytucyi szmerlingowskiej z r. 1861 zasianym na nowo w r. 1873 przez wybory bezpośrednie do rady państwa, długo nie wytrzyma: musi przyjść, albo nowy Hohenwart z nowemi „Fundamentalartikel,“ albo nowe Auerspergi, Bürgery, Giskry z niemieckim kagańcem wyższej kultury. Przeciwieństwa pogodzić się nie dadzą. Sprawa czesko-niemiecka jest sprawą całej Przedlitawii, a prawa Czechów — prawami wszystkich nie-niemieckich narodowości.

Zapytanie Schönerera: czy rząd zamierza podobne rozporządzenia, jak obecne, wydać i dla innych krajów, które należały dawniej do związku niemieckiego? — samo już rozstrzyga wątpliwość, co wart jest ten austryacki patryotyzm, którym niemiecka lewica szermować tak lubi w walce z przeciwnikami. Jaskrawo światło na ducha tego niemiectwa austryackiego rzuca odbycie w ubiegłą niedzielę zjazdu za granicami Austryi, w Dreznie, przy udziale Niemców miejscowych, pozaaustryackich, pilnie mimo to zajmujących się wewnętrznemi sprawami sprzymierzeńca. Niech tylko przymierze się pośliznie, a na Europę przyjdzie ciężka próba: nie zawahają ci patryoci austryaccy sprzedać korony czeskiej, razem z sobą i z Czechami, Niemcom — wielkiej ojczyźnie niemieckiej. Tylko ustrój federalistyczny, usuwający potworną, niemieckiego wynalazku, radę państwa, zdoła drzwi do Niemiec zaryglować: Nie Niemcy, ale Czesi powinni być narodem przodującym w Czechach, na Morawach, pod jednym wszakże warunkiem, że z Austryi już wyjść nigdy nie zapragną. Wtedy ogólny ustrój federalistyczny, nic nie burząc, wszystko w spójni trzymać będzie. Niemcom wypadnie zabezpieczyć prawa narodowe tak ściśle, aby ich korona czeska nigdy samowolnie zmieniać i zaprzeczać nie mogła. W każdym razie „mniej

warte" narodowości mają większą i dodatniejszą dla politycznego bytu Austryi wartość, niż wyższością swoją oszalała niemiecka.

Tydzień polityczny. Grecy nie utrzymali się pod Fersalą (neogr.), nie utrzymali i pod Velestinem, ani w Volo, ani w epirskiej Arcie. Na całej linii odwrót. Smolentz (ex-Smoleński) zbyt długo upierał się w Velestinie, tak iż część jego oddziału musiała cofać się morzem. Główny rdzeń docierał w ostatnich dniach na południe, na punkt strategicznie związać się dający z Domoko, w którem stanął książę następca tronu ze szczątkami korpusu, rozbitego około Laryssy. Instynkt zachowawczy zapewne skłonił już w tej chwili do dalszego odwrotu na południe, do Lamii, za góry Othrys. Nie słychać też nic już o działaniu floty na Prevezę. Wszystko stracone, nawet honor. Turcya zyskała połysk, jakiego sama spodziewać się nie mogła. Sułtan każe bić medale. Grecya bez wojska, bez pieniędzy, po rozdzierających stratach, jakie teraz poniosła, przestała, na jakie dziesięć lat, być mocarstwem bałkańskiem, jest tylko państewkiem. I król i rząd poprosili Europę o pośrednictwo. Dała się prosić Grecyi Europa, daje się prosić Europie jegomość sułtan. Od tygodnia trwają już rokowania wstępne — ciągle bez skutku. Turcy domagają się posiadania Tessalii dla pokrycia swych kosztów wojennych. Jeżeli przystaną na zawieszenie broni, to tylko pod warunkiem zgodzenia się Greków na zasadnicze warunki pokoju. Bismarck dał im przykład.

W Austro-Węgrzech prócz przedlitawskiej zażartości Niemców na słowo czeskie jest kłopot wielki o kwotę. Węgrzy nie chcą już teraz dać nawet 34%, które stanowić już miały *maximum* ich ustępstw. Przedlitawczycy przystaną ostatecznie na 36%, ale nie przestają dopominać się 40% węg. Położenie jest tak ciężkie, że przed Banffym, prezesem gabinetu, stanie wkrótce konieczność podania się do dymisyi. Toż samo i p. Badeniemu zagrozić może. W przyszłym tygodniu sprawa rozstrzygnąć-by się powinna.

W zamachu Acciarita (który nie strzelał, ale ze sztyletem rzucił się d. 22 kwietnia na króla w pobliżu Rzymu) podobno dostrzeżono spisek.

Anglia gromadzi wielkie siły przeciwko Transwalowi i Oranje, które przed dwoma miesiącami związały się ze sobą przymierzem dla odparcia przewidywanej już wówczas napaści. Porozumienie się jest tak ścisłem, że je uważać można za wstęp do zlania się kiedyś obu państw, jeśli ich pierwej Anglia nie pochłonie. Haniebna jest ta polityka narodu, kroczącego na czele cywilizacyi. Wojna z republikanami afrykańskimi będzie wypadkiem, wpływającym na bieg polityki europejskiej.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DLA OKIEŁZNANIA SPEKULACYI.

Na posiedzeniu sekcyi technicznej Towarzystwa przemysłu i handlu w Warszawie poruszono sprawę unormowania wynagrodzeń za pracę techników-budowniczych. Szczegół ten nasuwa nam kilka uwag w kwestyi doniosłej, żywo obchodzącej nietylko garstkę fachowców, lecz i ogół mieszkańców miejskich, którzy pośrednio są ofiarami gry spekulacyjnej. Wiadomo, jak silna gorączka budowlana zapanowała w Warszawie i innych większych miastach Królestwa Polskiego; jak wszechwładnie rozwinęła się na jej tle niczem nieokiełznana fuszerka, do której mimowoli przyczyniają się budowniczowie, ludzie bierni, zupełnie oddani na pastwę wyzysku spekulantów. Potrzebni są im specyaliści, jako ochrona przed prawem, jako zasłona, po za którą można bezpiecznie czynić najohydniejsze nadużycia. Pod wpływem tego wyzysku sami są bezsilni, stali się sprzymierzeńcami tandety budowlanej.

Według wykazu p. Rogójskiego, 50 budowniczych w jednym sezonie przedstawiło plany 1,065 różnych budowli. Niektórzy z nich mają po 150 wszelkich robót. Łatwo ocenić, jaka może być wartość i sumienność ich wykonania. Zważmy jeszcze, że nasi budowniczowie nie mają, jak za granicą, biur z liczną rzeszą pomocników. Pracują sami, rzadko przy pomocy jednego lub dwu rysowników. W zakres obowiązku budowniczego wchodzi opracowanie szkicu i kosztorysu wstępnego, projektu kosztorysu szczegółów, dozór nad wykonaniem roboty, sprawdzenie i kontrola rachunków. Praca ta, ogromna i wielostronna, wymaga nie jednej głowy i nie jednej ręki. A przecież są budowniczowie, którzy w ciągu sezonu setki planów robią. W rzeczywistości robi je kto inny, oni zaś tylko przeglądają i kładą na nich swoje podpisy.

Jakie plany, taka musi być robota, takie domy. Jak wiadomo, nie są one ani piękne, ani wygodne, ani nawet bezpieczne. Na przestrzeni możliwie najmniejszej spekulanci wznoszą możliwie największe masy murów, zawierających mnóstwo mieszkań ciasnych, ciemnych, niezdrowych, zimnych, wilgotnych. Ściany z lichej cegły, cienkie kryją w sobie gruz, a natomiast nie kryją wobec lokatorów trybu życia domowego i tajemnic rozmowy, bo okna ścian przeciwległych są tak blizko, że sąsiedzi mogą przez nie podawać sobie ręce. Podwórza kamienic trzy i czteropiętrowych stały się podobne do studzien artezyjskich lub wnętrza kominów fabrycznych. Do takiej fuszerki i spekulacyi, krzywdzącej wielotysięczną ludność miejską, przyczyniają się wyzyskiwani przez przedsiębiorców budowniczowie. Licho płatni, nawet zdolni fachowcy, muszą podpisywać plany licho zrobione przez kogo innego, gdyż im nie chodzi o jakość, lecz o ilość, dającą utrzymanie. A jednak można temu zapobiedz; należy tylko posłuchać rady budowniczego, p. Rogójskiego, wypowiedzianej na posiedzeniu sekcyi technicznej: stworzyć przy tej sekcyi oddział architektoniczny, do którego musieliby należeć wszyscy budowniczowie. Tym sposobem stworzyliby siłę zbiorową, niepodległą wyzyskowi spekulantów i mogliby unormować taksę na wzór istniejącej we Francyi, Niemczech i Austryi. Nadto mogliby słusznie wymagać wynagrodzenia procentowego w stosunku do kosztów budowli. Dla opracowania zasad takiego stowarzyszenia sekcya już wybrała komisyę. Życzyć tylko należy, ażeby ona jak najśpieszniej i najenergiczniej wzięła się do dzieła.

Na taksie wyższej i wynagrodzeniu procentowem w stosunku do kosztów budowli cokolwiek ucierpią lichwiarskie dochody spekulantów, ale zyska na tem niezmiernie dużo dobro ogólne. Przedewszystkiem budowniczowie, jako siła zrzeszo-

2)

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

IV.

Krowa aresztancka.

Co za dziwny temat: krowa?

Tak, ale nasza krowa jest niezwykła. Spełnia ona dwa zadania. Daje mleko pasażerom i pociechę moralną aresztantom.

Śmiem utrzymywać, że ze wszystkich dostarczanych im pociech moralnych najprawdziwszą jest ta, którą daje krowa na okręcie.

Zapoznałem się z nią...

Właściwie ta poczciwa osoba sama pośpieszyła przedstawić się całemu parowcowi.

Ze wszystkich podróżnych, wolnych i niewolnych, rozstanie się z krajem najmocniej odczuła krowa.

Ryczała co sił stało.

Jechaliśmy z towarzyszeniem jej ryku i brzęku kajdan.

— Długo nie będzie mogła się przyzwyczaić — mówili ludzie doświadczeni.

Ale oto krowa umilkła.

— Patrzcie, jak prędko przywykła!

Poszedłem zobaczyć.

Ta mała scenka warta pędzla malarza.

Przypomniał mi się obraz, który widziałem na wystawie ruchomej, p. t. „Gołębie":

Wagon aresztancki stoi na stacyi. Ludzie przez kraty okna karmią wolne ptactwo. Zleciała się masa gołębi.

Kontrast między wolnem ptactwem, a kratami aresztanckiemi bardzo silny.

Scena, o której tu mówię, nie tak poetyczna, lecz niemniej wzruszająca.

Pomieszczono krowę tuż koło „gabinetu" aresztanckiego.

W życiu zaś aresztanckiem „gabinet" jest rzeczą ważniejszą, niż w zwyczajnem.

Jest to pokój do palenia, klub, jedyne miejsce, skąd przez okno zakratowane widać kawałek błękitu nieba, skrawek morza, pokład parowca, port podczas postoju.

Życie tak się ułożyło, że najlepszem miejscem na świecie jest „gabinet."

Aresztanci bardzo cenią swoje miejsce rozrywek moralnych i utrzymują je w czystości wzorowej.

U każdego okna zawsze dwie twarze aresztanckie.

Okienko jednego „gabinetu" o kilka cali od krowy. Trochę tylko wysunie swój pysk i aresztant może ją pogłaskać.

Kiedym podszedł, przeżuwała skórkę chleba i wyglądała przez okno, czy nie dadzą jej więcej.

Z za krat patrzał na nią jakiś człowiek z wielkiem zadowoleniem, uśmiechając się od ucha do ucha.

Twarz szara, głowa w połowie ogolona—nadaje to aresztantowi wygląd przykry.

Nie napróżno większym dla aresztantów ciężarem jest to golenie głowy, niż kajdany.

Ale teraz w uśmiechu szerokim było tyle dobroduszności, że zasłoniła ona i szarą twarz aresztanta i głowę do połowy ogoloną.

Był to przedemną nie aresztant, nie „katorżnik," lecz poprostu parobek wiejski, który się zobaczył z dawnym przyjacielem.

W zimie na wsi dla ocielenia się krowę zabierają do izby. Z początku i cielę tam przebywa; to pierwszy przyjaciel dzieci, towarzysz zabaw, faworyt, ulubieniec wszystkich.

na, usuną spośród siebie wszelkie nadużycia i niesumienność, podniosą wartość estetyczną i realną budowli, rozciągną baczność nad rzetelnem wykonywaniem robót ściśle według planów; na posiedzeniach publicznych będą mogli ujawniać wszelkie braki w budownictwie i przepisach budowlanych; będą wreszcie mogli wywierać nacisk moralny na przedsiębiorców, wznoszących domy i kupczących nimi. Liczne rzesze budowniczych, cierpiące dziś niedostatek, znajdą pracę, dającą dostateczne środki utrzymania. Z czasem wzmocniwszy swoje podstawy materyalne i stanowisko moralne, fachowcy owi będą mogli stworzyć biuro na wzór zagranicznych, powołać do pracy zdolnych rysowników.

Jest tedy grunt do stworzenia poważnej organizacyi specyalistów, która obok zapewnienia sobie bytu, stałaby się środkiem okiełznania rozszalałej u nas spekulacyi. To doniosła rola społeczna takiego stowarzyszenia. Spekulacya ta bowiem stała się grą wielce niebezpieczną dla ogółu. Popełnia ona nietylko zuchwały rabunek kieszeni ludności, ale zagraża jej zdrowiu i życiu. Na wszelkie gry hazardowne patrzymy przez palce lub sarkamy z cicha, bo one przynoszą krzywdę tylko gromadce lekkomyślnych; grze spekulacyjnej musimy wypowiedzieć walkę zbiorową, bo jest ona klęską, przynoszącą nieobliczone straty moralne i materyalne. Postarajmy się więc jaknajprędzej o zorganizowanie pierwszego „oddziału" do prowadzenia takiej walki nie partyzanckiej, nie ze szpalt dziennikarskich za pomocą pocisków reporterskich, lecz za pośrednictwem stowarzyszenia poważnego specyalistów, którzy postawiliby otwarcie swoje szeregi zwarte.

Organizacya taka potrzebna jest nietylko dla Warszawy, lecz wogóle dla miast większych, gdzie się rozwinęła gorączka budowlana i spekulacyjna. Warszawie dorównywa pod tym względem, a nawet może ją przewyższa do pewnego stopnia—Łódź. Tam również istnieje oddział Towarzystwa przemysłu i handlu z sekcyą techniczną, a liczna rzesza budowniczych narażona na wyzysk aferzystów. Co gorsza — rozwielmożniły się tam bardziej, niż w Warszawie, nadużycia w wykonywaniu planów. Robią je przeważnie partacze i kupują podpisy fachowców. Żadne naganki, żadne wystąpienia pojedyncze, a nawet chwilowe obostrzenia przepisów policyjnych nie zwalczą złego, dopóki nie wystąpi przeciwko niemu siła zsolidaryzowana.

LISTY PETERSBURSKIE.

9 maja.

Przywidzenia *Swieta*. — Woda trzeźwiąca. — Podboje akcyonaryuszów-cudzoziemców. — Środki zapobiegające obchodzeniu prawa. — Zwrot ku szlachetczyznie. — „Grunt służenia państwu." — Instytut wschodni.

Drobne ulgi w Królestwie Polskiem, nie dają spać *Swietowi*. Stanowisko i zapatrywania tego organu godne są uwagi; wyrażają one bowiem opinię pewnej dość wielkiej grupy ludzi, opinię, która jest zimną wodą na głowy naszych zapalonych politykomanów, patrzących na świat przez mgły mocno zaróżowione.

„Jasnem stało się dla wszystkich, że Polacy, zasmakowawszy w dewizie „pojednania," grają jedynie na podwyżkę kursu swoich akcyj w oczach rządu rosyjskiego. Jeżeli wygrają, tj. jeżeli potrafią przekonać rząd rosyjski o swojej lojalności, osiągną samorząd miejski i wiejski, sądy przysięgłych i związane z instytucyami temi przywileje, jak np. zastąpienie języka rosyjskiego przez polski, wyparcie urzędników rosyjskich itd. Dla człowieka, znającego dokładnie charakter Polaków, dalszy ciąg wymagań polskich zarysowywa się zupełnie wyraźnie: Jeżeli Polak ma jakie takie przekonanie, że grunt jest przygotowany, to nie widzi granic w żądaniach. Jeszcze „sławetne pojednanie" nie narodziło się, a już prasa polska zaczęła wołać o wszelkich możliwych „prawach zapomnianych" — rzecz prosta, przez rząd rosyjski, o niedogodnościach używania daty starego stylu, o szkodach wynikających z wprowadzenia języka rosyjskiego do sprawozdań instytucyj prywatnych, ulegających kontroli państwowej itd... Prasa polska otrzymała wielką wolność, bynajmniej nie na rzecz sprawy rosyjskiej na kresach zachodnich; język rosyjski staje się powoli tylko językiem instytucyj rządowych. Polska „zmartwychwstaje i nie tak daleko już do demonstracyjnych objawów tego faktu, skoro istnieje np. projekt wzniesienia w Warszawie pomnika Mickiewiczowi, poecie polskiemu. Gazety rosyjskie zaproponowały wzniesienie tego monumentu wspólnemi siłami z ofiar rosyjskich i polskich, ale propozycya wywołała prawie burzę śród Polaków, bo dopatrzyli w niej zniewagę pamięci poety."

Również *Swiet* wielce zaniepokojony sprawą odbudowania zamku na Wawelu w Krakowie. „Wawel jest tem dla Krakowa, czem Kreml dla Rosyan. Wiążą się z nim najdawniejsze tradycye Polski." Podawszy jego historyę, pismo zaznacza, że Polacy obecnie postanowili odbudować znowu zamek, usunąć koszary i stajnie, a natomiast zrobić tam rezydencyę dla cesarza austryackiego podczas jego pobytu w Krakowie. „Dr. Żywny wyjaśnił dostatecznie w *Warsz. Dniewn.* prawdziwe znaczenie tego zamysłu. Wykazał, że odbudowanie zamku ma na celu podtrzymanie tej pamiątki historycznej, z którą mogłaby się wiązać historya wznowienia Polski; przytem jest to demonstracya, świadcząca o sympatyach Polaków dla Austryi, w której widzą narzędzie swego wskrzeszenia."

Swiet utrzymuje, że na odbudowanie Wawelu Warszawa zebrała około 40 tys. rubli. Tak więc „z jednej strony Polacy zapewniają rząd rosyjski o swojej lojalności, z drugiej — składają dowód wierności tronowi austryackiemu w postaci ofiary 40,000 rs."

Pomimo jednak tych protestów, o obejściach praw w Królestwie Polskiem mówią nietylko pisma polskie, ale i rosyjskie; że zaś to obejście nie zawsze bywa korzystne dla rządu, a przypominanie o tem nie zawsze jest wodą na młyn „sprawy polskiej," świadczy artykuł *Sudiebnej Gazety*, która wykryła w Królestwie Polskiem groźne podboje akcyonaryuszów cudzoziemców. Przepisy normalne, dopuszczające najwyżej jedną trzecią cudzoziemców do udziału w towarzystwach akcyjnych, miały na celu, ażeby majątek takich przedsiębiorstw w obrębie państwa należał do większości poddanych rosyjskich. Otóż te cele, jak wykazuje organ powyższy, są lekceważone i naruszane, bo w rzeczywistości cztery piąte akcyonaryuszów stanowią cudzo-

---

Wypędzić krowę w pole, zapędzić ją do domu — ile tu bieganiny dla dziatwy!

Jest to takie bliskie bydlę w życiu włościańskiem, tak przypomina dom, wieś, dzieciństwo — że nasza dobra, poczciwa krowa musi działać kojąco na tych szczęśliwych, których „gabinet" jest obok jej pomieszczenia.

Przeżuła skórkę chleba — więcej nie dają.

Machnęła ogonem i zaryczała, patrząc chłopu w oczy.

To go wprawiło w najwyższy zachwyt.

— Chcesz!

I zachichotał śmiechem prawie szczęśliwym, prawie dziecinnym.

Obok ukazała się druga twarz.

Ogolona lewa część głowy — włóczęga.

Na twarzy chmurnej, pokrytej zarostem, ciemno szarej, koloru ziemistego, porytej zmarszczkami — jak promień słoneczny na niebie jesiennem, przemknął uśmiech dobroduszny.

— Także wiozą!

Krowa, ku wielkiemu swemu zadowoleniu, otrzymała znowu skórkę chleba, mocno posoloną.

To jest wymiana grzeczności. Usługa za usługę.

Ona przecież, choć trochę daje im rozrywki, czyni lżejszą podróż. Oni także przynoszą jej ulgę, pocieszają skórkami chleba.

I krowa przestała ryczeć, aresztanci uśmiechają się.

Każdy człowiek staje się łagodniejszym, lepszym w zbliżeniu z matką — naturą.

Są to chwile jaśniejsze, podczas których do duszy spływają spokój i cisza.

Krowa, to przecież także „przyroda."

Na dole — spaczeni przez losy życia i ludzi, na gorze — władza, a obok okienka gabinetu ryczy i patrzy swojemi dobremi oczyma przyroda.

Łatwo tedy zrozumieć, dlaczego od rana do zmroku przez okienko zawsze wyglądają twarze dobroduszne. Dlaczego aresztanci wolą „okienko krowy," z którego oprócz niej nic więcej nie widać, niżeli w tem samem mieszkaniu inne okno, z którego bądź co bądź widać i niebo i morze i ludzi wolnych, i życie pokładowe, obce lub nowe dla aresztantów. Dlaczego nigdy tam nie milkną rozmowy, zawsze słychać uprzejme wołanie, a krowa ciągle coś żuje.

Przecież to jedyna „osoba postronna," z którą wolno mieć stosunki nawet największym przestępcom.

Taka jest na okręcie nasza pani krowa i taka jej rola.

V.

„Katorga."

Kajdany zabrzęczały głośniej.

Ze spodu okrętu wyprowadzono 18-tu aresztantów.

Rozkuwają ich na skutek starań lekarza.

Jeżeli zapytamy aresztanta, co jest dla niego „katorgą" — odpowie:

— Kajdany i ot jeszcze...

Tutaj się zająknie, zmiesza i doda znacznie ciszej:

— Ot, jeszcze... głowa ogolona.

Właściwie nie rozumiem dobrze, do czego służą kajdany na parowcu.

Ucieczka ze spodu okrętu, gdzie każdy aresztant jest na oku straży, chyba niemożliwa.

Przez cały czas przewozu aresztantów na parowcach floty ochotniczej zdarzył się jeden spisek ucieczki, odrazu wykryty.

Siedmnastu ludzi postanowiło wyłamać kraty, rzucić się do otworu w pokładzie, zabić szyldwacha, wybiedz na pokład, a następnie za burtę.

W projekcie tym więcej było naiwności, niż zuchwalstwa.

ziemcy, gdy tymczasem poddani rosyjscy posiadają akcye nawet nie w dwu trzecich częściach, lecz w bardzo nieznacznej ilości. „Cele rządu więcej jeszcze są naruszane w tych znanych wypadkach, gdy jedynym właścicielem całego majątku akcyjnego, a w tej liczbie i nieruchomości, położonych po za obrębem miast w Królestwie Polskiem, jest właściwie jeden, dwu lub trzech cudzoziemców, których zaledwie można byłoby uwzględnić, jeżeli stali się posiadaczami tych majątków przed wydaniem prawa z r. 1887, zabraniającego obcokrajowcom nabywać majątki nieruchome w Królestwie Polskiem i zobowiązującego ich do odprzedania w ciągu lat trzech poddanym rosyjskim majątków, otrzymanych następnie drogą spadku. Tymczasem owi cudzoziemcy pozakładali w obrębie Rosyi towarzystwa fikcyjne, pozostawili prawie wszystkie akcye przy sobie i mogą je w każdej chwili odprzedawać także cudzoziemcom. Tym sposobem zamiast dwu trzecich, nieograniczona ich liczba zagarnia w swoje ręce dobra nieruchome, pomimo zakazu prawnego.“

Skarb na takiem obchodzeniu prawa traci miliony, bo nie otrzymuje należnych mu opłat spadkowych. Pismo twierdzi, iż towarzystwa akcyjne składają świadomie sprawozdania fałszywe. „Sztuczne wykazywanie zysków czystych za pomocą rozmaitych środków buchhalteryjnych praktykuje się szeroko i bez ceremonii, celem niszczenia jak najniższej opłaty 5%.

Dla zaradzenia złemu autor widzi jeden tylko sposób: niema żadnego powodu zwalniać zupełnie akcyonaryuszów przy zbywaniu akcyj (w drodze darowizny lub sprzedaży) od wnoszenia opłat na rzecz skarbu, ponieważ nowonabywca uzyskuje nietylko prawa akcyonaryusza do pewnej części dywidendy rocznej z przedsiębiorstwa i nietylko rzeczowe prawa posiadania akcyj, mającej wartość nominalną i giełdową, ale również prawo do pewnej części wartości całego majątku ruchomego, który Towarzystwo posiada. Akcye należy zbywać tylko przy pośrednictwie regenta; przytem muszą one być wszystkie imienne.

Jeżeli na to odkrycie *Sudiebnej Gazety* sfery właściwe zwrócą uwagę i wprowadzą reformę, krępującą swobodę akcyonaryuszów-cudzoziemców, zmiany te będą miały doniosłe znaczenie nietylko fiskalne — dla skarbu, lecz i ekonomiczne — dla kraju.

Śledząc różne „nastroje“ i „prądy“ w życiu politycznem i społecznem, spostrzegamy obecnie znamienny zwrot ku szlachetczyźnie. W ostatnich latach demokratyzacya życia na tle bytu ekonomicznego usunęła „stan“ szlachecki z planu pierwszego. Rozwój przemysłowo-handlowy zabarwił to życie silnie wzrastającym pierwiastkiem kupiecko-mieszczańskim. „Stan szlachecki,“ w ścisłem znaczeniu tego określenia, był już zagrożony złożeniem do muzeum starożytności. Rzadko kto pytał o pochodzenie, częściej o zdolności i kwalifikacye umysłowe, o fachowość i stan interesów materyalnych. Obecnie spostrzegamy właśnie pewien zwrot ku przeszłości. Stan szlachecki zaczyna znowu figurować jako kasta, pomimo że życie ekonomiczno-społeczne przeprowadziło niwelacyę, że zatem taka wyniosłość na płaszczyźnie byłaby zjawiskiem niezwiązanem z owym gruntem. Zwrot ten w społeczeństwie zarysował się wyraźniej skutkiem najrozmaitszego wyjaśniania zadań stworzonej komisyi do spraw stanu szlacheckiego. Bujna wyobraźnia publiczności i dziennikarzy wysnuwa już działalność tego organu. To też wobec bogactwa i rozmaitości owych pogłosek słusznie *Nowoje Wr.* nadmienia, że byłoby pożądanem, aby zarządzenia w interesie stanu szlacheckiego nie ograniczały się zbyt ciasnemi ramkami stanowemi, tj. aby nie poprzestawały wyłącznie na dziedzinie interesów ekonomicznych stanu szlacheckiego.

W rzeczywistości działalność komisyi trzeba rozumieć nie jako opiekę nad ludźmi należącymi do jednego tylko stanu, lecz jako popieranie wogóle rolnictwa, którego przedstawicielami dzisiaj są przecież wszystkie stany, a nawet w wielu częściach państwa zaczyna na roli przeważać żywioł mieszczański lub włościaństwo zbogacone. Wybieranie więc części, pewnej grupy ziemian i popieranie przywilejami tylko ich interesów, gdy ogół wytwórców rolnych wymaga poparcia — nie miałoby najmniejszej racyi bytu. Sam fakt stworzenia „komisyi do spraw stanu szlacheckiego“ właściwie „ziemiańskiego“ jest bardzo doniosły w zakresie środków ekonomicznych. Do składu tego nowego steru powołano mężów stanu i ministrów, a więc można przypuszczać, że będą oni mieli na względzie wszystkie interesy ludności rolnej. Zresztą trudno przypuścić, ażeby komisya miała na celu inne zadania i chciała w czynie przytrzymywać się tylko tytułu archaicznego. Ten tytuł właśnie dał powód do rożnych wniosków i rysowania w wyobraźni wyspy stanu szlacheckiego na morzu interesów ogólnych, ściśle z sobą zespolonych.

Po za sferą wszakże czysto ekonomiczną działalności powyższej komisyi, zwrot ku szlachetczyźnie ma w sobie jeszcze inne pierwiastki. Wielu domaga się odbudowania stanu szlacheckiego, jako klasy przodującej w państwie. „I dziś tak samo, jak przed pół wiekiem — piszą *Mosk. Wied.* — władza państwowa, gdy chodzi o zarząd i kierunek spraw miejscowych, niema na kim się oprzeć, jeno na szlachcie; tylko jej może nadawać pełnomocnictwo do rządzenia w sprawach miejscowych. Przywrócenie więc temu stanowi jego „gruntu służenia państwu,“ jest kamieniem węgielnym w sprawie wskrzeszenia roli państwowej ludzi tej kategoryi.“

Przytoczyliśmy te słowa *Mosk. Wied.* jako znamienny wyraz pojęć i dążeń pewnej grupy działaczów.

Podboje kapitału wielkiego na dalekim Wschodzie, tudzież postępy kultury narodu przodującego w Azyi—Japonii, wreszcie współzawodnictwo mocarstw europejskich na rynkach „państwa niebieskiego“ — wszystko to pobudza Rosyę do coraz większej czujności i przedsiębrania środków walki i zdobyczy skutecznych. Jednym takim środkiem, niewątpliwie bardzo ważnym, jest wniosek przekształcenia gimnazyum we Władywostoku na Instytut wschodni (liceum). Programu dotychczas nie znamy jeszcze; ale możemy wnosić, że zadaniem nowego zakładu naukowego będzie kształcenie młodzieży na działaczów miejscowych, obeznanych dobrze z ustrojem administracyjnym, z warunkami politycznymi, geograficznymi i ekonomicznymi Wschodu dalekiego. Tacy specyaliści są Rosyi bardzo potrzebni; brak ich z każdym dniem, staje się coraz widoczniejszym.

Paweł Krzyżanowski.

Z GALICYI.

Nowa ustawa o podatkach i jej charakter. — Próba wyjaśnienia drożyzny galicyjskiej — Szkodliwy wpływ zarządów kolejowych — Mała doniosłość teraźniejszych usiłowań podniesienia ekonomicznego kraju. — Czego potrzeba. — Zmiana systemu gospodarstwa wiejskiego. — Uporządkowanie gruntów.

Od 1 stycznia 1898 roku ma wejść w życie nowa ustawa o podatku osobistym bezpośrednim. Usiło-

---

Przecież skazańcy jadą od morza Czerwonego do Władywostoka bez kajdan, a nie było ani jednej ucieczki.

Golenie głowy, to „wilczy bilet“ aresztanta. Wygolona prawa część jedzie za przestępstwo kryminalne.

Lewa — za włóczęgostwo.

Takie cechowanie nadaje twarzy aresztanta wyraz wstrętny.

I nic dziwnego, że głowa nawpół ogolona jest dla aresztantów większym ciężarem, niż kajdany, które nie dają spać, jątrzą skórę, tworzą sińce krwawe, rany na nogach.

Połowa głowy ogolonej — to ich hańba, to wstyd

— Głowa golona! — te słowa mogą doprowadzić aresztanta do wściekłości, natomiast uśmiechnie się tylko pogardliwie, gdy posłyszy:

— Katorżnik!

Włosy odrastają — na spodzie okrętu niepokój.

Wkrótce znowu zaczną golić głowy.

Wszyscy przygnębieni tą myślą i oczekiwaniem.

Naraz „w oddziałach“ rozlega się szczęk nożyc i rozkaz:

— Zrównać!

Już nie golą, lecz nawet każą zupełnie zatrzeć tę hańbiącą oznakę — zrównać włosy.

Szybko się dokonywa ta czynność i w ciągu jednego dnia „głowy golone“ zamieniają się na krótko ostrzyżone.

Jak utrzymuje służba na parowcu, będzie to chwila bardziej radosna, niż dzień „rozkucia.“

Rozkucie i strzyżenie — to dwa święta, które niosą nam upały tropikalne.

Aresztanci pozbędą się dwu oznak hańbiących, które co chwila przypominają im dolę nieszczęsną:

— Tyś katorżnik, katorżnik, katorżnik! — brzęczą kajdany przy najmniejszem poruszeniu.

— Tyś katorżnik! — mówi wstrętna, ogolona do połowy głowa, gdy aresztant spojrzy w malutkie, groszowe lusterko, które ma w worku podróżnym.

— Tyś katorżnik!

Niby to można o tem zapomnieć, siedząc w szarej kapocie za kratami na spodzie parowca aresztanckiego!

VI.

Rozkuwanie.

Piątek, 28 lutego.

Jasny dzień słoneczny. Podmuch świeży. Niewielkie kołysanie.

W dali przykryte mgłą lekką przezroczystą góry Synai.

Przed nami kędziorzawe białe fale morza Czerwonego.

„Jarosław“ — to olbrzymia kuźnia pływająca.

Cały dzień rozlegają się na parowcu uderzenia młotków o żelazo.

To rozkuwanie.

* * *

Dzisiaj będą rozkuwać.

Rozkaz wydano o 7-ej zrana.

Na parowcu weselej.

Nie mówię już o spodzie okrętu, dla którego ten stuk młotków jest pieśnią oswobodzenia.

Wszak wielu oczekiwało tej chwili przez kilka lat!

Poweseleli i podróżni, na których ten nieustanny brzęk kajdan robił przygnębiające wrażenie.

Ale co tam podróżni!

„Przyzwyczajeni do tego“ oficerowie, przez kilka lat z rzędu przewożący skazańców, i ci przyznają się teraz, że brzęk kajdan działał na nich przygnębiająco.

Są rzeczy, do których nie można się przyzwyczaić.

Rozkuwa sześciu z załogi okrętowej.

wanie przeprowadzenia reformy systemu podatkowego ciągnie się już w Austryi od pół wieku, a nowa uchwała zapadła dopiero 25 października roku zeszłego. Przyniesie ona niezawodnie pewne ulgi, nie tym wszakże, którzy najwięcej cierpią i są bezwątpienia najubożsi. Jaką doniosłość będzie miała w Tyrolu lub Dolnej Austryi, mało mię to interesuje; najważniejszą rzeczą dla nas jest, jaki pożytek przyniesie Galicyi i czy na ogólne położenie będzie mogło wpłynąć dodatnio?

Ponieważ ma ona na celu przedewszystkiem własność ziemską, czyli rolnictwo, z tego przeto stanowiska kilka słów o niej powiem. Własność ta dotychczas opłacała dwa rodzaje podatków: gruntowy i domowy. Co do podatku zarobkowego rolnictwo wolne być miało od niego, o ile przemysł rolniczy nie przekraczał granic gospodarstwa wiejskiego, tj. gdy produkcya nie przybierała charakteru samoistnego przedsiębiorstwa przemysłowego lub handlowego. Niejasność ustawy względem rozgraniczenia między produkcyą gospodarską, że tak powiem, a przemysłową, dawała pole urzędom podatkowym do oburzających nadużyć, tembardziej, że ów podatek zarobkowy dotykał przeważnie ludność ubogą i pozbawiał ją w gruncie rzeczy wszelkiego zarobku.

W nowej ustawie zasadniczy motyw w niczem nie zmienił się; ta sama plątanina między pojęciami: wolny od podatku i obowiązany do podatku. Celem reformy nie był bynajmniej nowy, inny, lżejszy jakiś system podatkowy, lecz *zmniejszenie* podatku zarobkowego, gruntowego i domowego w dosłownem znaczeniu. Jedyną nowiną jest to, że skutkiem normalnego zwiększenia się podatków, pewne sumy—niewiadomo jakie — co do wysokości płynące ze źródła podatkowego, zwrócone będą krajom do dyspozycyi, względnie organom autonomicznym. Zmniejszenie, o którem wspomniałem, będzie wynosić na razie 10%. Ustawa zakreśla jednak już z góry granice tego zmniejszenia: maximum jego (czas nieokreślony) przy podatku gruntowym będzie wynosić 15%, od domów mieszkalnych 12½% i zarobkowych 25%. Zapewne, nadzieje lepsze są w tym wypadku od rzeczywistości; powiadają, że nadzieja także przynosi ulgę, w takim razie na tym trwałym fundamencie cały system rządzenia Austryi oparty.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że 10%-owa ulga podatkowa wynosi dużą sumę w budżecie państwowym, ale w budżecie gospodarskim, śmiem powiedzieć, jest niczem, zarówno dla wielkiej własności, jak i małej. Na całej ludności podatkowej cięży nie nadwyżka, lecz *samowola* i zdzierstwo fiskalne, na powstrzymanie którego nie daje nowa ustawa żadnej obrony, żadnego hamulca. Pomijam własność wielką i średnią, które nie znają nędzy osobistej, wezmę przykład z gospodarstwa włościańskiego. Biorę zamożność średnią, połączoną z posiadaniem 4—5 morgów. Takie gospodarstwo opłaca średnio 7—10 złr. podatku bezpośredniego. Dzięki ustawie będzie opłacało 6,30 do 9 fl. Czem taka suma może być w budżecie domowym? Można śmiało zaręczyć, że każdy gospodarz włościanin opłaciłby chętnie owe 10%, byle miał zarobek znośny bodaj przez 3 miesiące w roku. Tego mu właśnie brak. Z ziemi wydobyć więcej, niż wydobywa, nie umie, a zarobić nie ma gdzie, chyba wyjątkowo.

Na wszelkie reformy podatkowe ludność wiejska zapatruje się nie ze stanowiska ekonomistów, ale życia i warunków jego. Niedawno rozmawiałem z rozumnym chłopem o zmianie ustawy drogowej, z której nasze dziennikarstwo zrobiło jakąś doskonałość. „To wszystko do niczego — rzekł bez ogródek — ja będę i płacił i robił, jak zechcą, niech mi tylko dadzą gdzie zarobić. Teraz wolę pracować cały dzień na szarwarku, niż dać 10 centów pieniędzmi, bo ja nie mam skąd wziąć tych 10 centów." Co chłopu pomoże 10-procentowa ulga, gdy urząd podatkowy nałoży na niego podatek zarobkowy za handel miotłami z rózeg brzozowych w kwocie 5 fl. i w dwójnasób większy podatek za wyrabianie naczyń z drzewa lub gontów. Niezawodnie, że chłop sprzedaje miotły, cebrzyki i gonty, ale podatek pozbawia go wszelkiego zarobku i zmusza do tego, że byleby pozbyć się stosunku z urzędem, na który dużo czasu traci, woli nic nie robić. Wybrałem jaskrawy przykład umyślnie, gdyż on najlepiej wskazuje, na jakim punkcie koleje austryacki system podatków bezpośrednich, odnośnie do gospodarstwa drobnego. Rozmaite fiskalne kruczki obciążają w Austryi wogóle własność ziemską, ale włościańska cierpi więcej, gdyż żadnej pomocy ani od państwa, ani od kraju nie otrzymuje. Robi się wiele dla przyszłości, ale dziś ludzie z nędzy umierają lub uciekają do Ameryki.

Niejednokrotnie słychać utyskiwania na drożyznę w Galicyi, połączoną z nadzwyczajnem ubóstwem kapitału. Otóż przyczyna tej drożyzny tkwi niezawodnie nietylko w braku wszelkiej opieki państwowej nad wielkim działem wytwórczości rolniczej, ale nawet, powiem śmiało, w polityce ekonomicznej, rujnującej kraj kosztem wzbogaconych Towarzystw prywatnych lub kasy państwowej. Mam tu na myśli zarząd generalny kolei żelaznych, którego gospodarstwo najbardziej może cięży na Galicyi. Dla wyjaśnienia tego faktu wezmę przykład z handlu zbożem. Jak wiadomo, Galicya produkuje dotychczas przeważnie ziarno i bydło; handel wywozowy koncetruje się w Galicyi Wschodniej i Bukowinie. Nie trzeba chyba dowodzić tego, że rząd obowiązany jest względem opodatkowanych do bronienia ich interesów wobec współzawodnictwa państw ościennych, a właściwie handlu ościennego. Jakże się rząd austryacki wywiązuje z tego zadania wobec Galicyi, ten rząd, *który nam sprzyja* i nas *kocha*?

Weźmy jeden punkt, który można uważać za średnią dla handlu zbożowego w Galicyi Wschodniej i Bukowinie—Podwołoczyska. Transport 1 wagona zboża kosztuje:

	zagranicznego:	galicyjskiego:	Galicya płaci więcej:
Wiednia	149,50 złr.	193 złr.	43,50 złr.
Krakowa	72 „	110 „	38 „
Liberca	176 „	234 „	58 „
Pragi	166 „	225 „	59 „
Bogumina	94,50 „	137 „	42,50 „
Berna moraws.	131 „	174 „	43 „
Berlina	347 marek	446 m.	99 marek
Wrocławia	201 „	300 „	99 „
Szczecina	353 „	452 „	99 „
Monachium	384 „	504 „	120 „

Dość rzucić okiem na te liczby, aby się przekonać, że producent galicyjski traci na każdym worku od 40 do 120 c. Względem Węgrów jesteśmy w tem samem położeniu, a co ważniejsza, *nic* na to poradzić nie można, bo Węgrzy dobrowolnie żadnego ustępstwa nie zrobią, a rząd jest za słaby, ażeby się kierował sprawiedliwością bodaj ekonomiczną, jeżeli nie państwową. Z tej też racyi życie w Wiedniu jest tańsze, niż w takiej dziurze, jak Lwów, gdyż taryfa, której próbkę przytoczyliśmy, odnosi się nietylko do ziarna, lecz także do mięsa i wszystkich produktów wywozowych. Przy takiem gospodarstwie kolejowem rząd zyskuje pół miliona, a kraj traci 5—6 mil. Zamiast zaradzić tej biedzie, wielki ekonomista Biliński, teraźniejszy minister skarbu, gdy był generalnym dyrektorem kolei państwowych, znalazł doskonały sposób wzbogacenia skarbu: podniósł o $^1/_3$ część prawie cenę jazdy na kolejach. Za tę przysługę,

---

Na każdego przypada przeszło po stu ludzi.

Praca nielekka.

Ale proszę spojrzeć, z jaką radością do niej się zabierają, jak raźno idzie ta robota sympatyczna.

Pot kroplisty wystąpił na czoło, strugami ścieka po skroniach, a oni pracują tak energicznie, wesoło, żwawo.

Przyjemnie popatrzeć.

Jeden z nich prosi, ażebym utrwalił na fotografii chwilę rozkuwania.

— Zawiniemy do Nagasaki, damy do powiększenia; tam dobrze powiększają — po dwa ruble sztuka.

Ludziom nie żal wydać parę rubli, ciężką pracą zdobytych, ażeby mieć tylko pamiątkę z tej chwili, „najlepszej przez cały czas żeglugi."

Rozkuwanie — to święto na parowcu.

Nastrój świąteczny osiadł na wszystkich twarzach, unosi się w powietrzu.

* * *

Maszyniści siedzą około szyny, służącej za kowadło.

U wszystkich wejść na pokładzie stanęła straż.

— Wprowadzić oddział pierwszy!

Z otworu wysuwa się „starosta" oddziału pierwszego.

Wstrętna twarz „katorżnika" typowego.

Oczy zuchwałe, ironicznie patrzące. Wargi duże, wydęte, nos spłaszczony, szczęki szerokie, zarost rzadki, brwi zrosłe, ruchliwe.

Wogóle jest to postać, z którą bardzo nieprzyjemnie byłoby się spotkać oko w oko w miejscu ustronnem.

Na „starostę" — jak zwykle bywa — wybrali go aresztanci za „doświadczenie."

Powinien on trzymać pod grozą cały oddział.

Idzie na Sachalin — jako włóczęga.

Tam czeka go chłosta i prawdopodobnie znowu ucieczka.

— Dwa razy uciekałem; mam nadzieję i trzeci — mówił chełpliwie.

Za starostą z otworu sznurem ciągną aresztanci.

— Żwawiej, żwawiej!

Zatrzymano się.

— Co tam? Czego stanęli?

Z otworu powoli wychodzi jakiś cień, nie człowiek.

Góral o twarzy bladej, przezroczystej, woskowej. Ani kropelki krwi!

Czyście widzieli kiedy, czytelnicy, spojrzenie psa niewymownie cierpiącego, konającego?

Wzrok pełen cichej pokory, smutku przedśmiertnego zdaje się błagać:

— Nie bij!

Spojrzenie, które za serce chwyta.

To właśnie spojrzenie owego górala.

Prowadzą go pod ręce.

Ledwo porusza nogami, na których kajdany brzęczą jakoś cicho i żałośnie.

Dziki i straszny, może gdzieś w wązkiej rozpadlinie czatował, zuchwale rzucał się na pocztę, zręcznie wywijał się z pod kul i jak wąż ślizgał się po ścieżkach nieprzystępnych, po stokach skalistych — teraz widmo, cień chwiejący się przy najmniejszym ruchu.

Topnieje jak wosk, bez skargi, bez jęku, patrząc swojemi oczyma cierpiącemi.

Tak umiera w klatce orzeł stepowy.

Podczas rozkuwania trzymają go pod ręce.

(C. d. n.).

zarówno jak Dunajewski, został zaliczony do tej plejady znakomitych rodaków, których potomność nie zawaha się nazwać, pomimo wszelkich figielków w rodzaju podwojenia płac urzędników itd., niszczycielami własnego kraju.

Na szczęście taki stan rzeczy dotyka znaczną część Przedlitawii i z tej tylko racyi sprawa taryf przewozowych była niejednokrotnie postawiona na porządku dziennym w Radzie państwa — bynajmniej nie przez Koło polskie. Wskutek interpelacyi posłów rozmaitych grup (nie Polaków), rząd zwołał nareszcie ankietę do zastanowienia się nad tą sprawą. Zastanawiają się dotychczas, a kraj ubożeje.

Zwracałem niejednokrotnie uwagę czytelników *Prawdy* na to, co się robi w celu podniesienia materyalnego ludności rolniczej; niektóre z tych czynności mają doniosłe znaczenie ekonomiczne, np. regulacya rzek (Sanu, Dniestru i mnóstwa górskich rzek i strumieni), nie waham się jednak zaliczyć tego do półśrodków, których wpływ dobroczynny długo jeszcze będzie miał charakter ochronny, że tak powiem, zapobiegawczy. Uregulowane rzeki nie będą wprawdzie niszczyć peryodycznie płodów i pracy rolnika, ale nie nauczą go ani lepszego rolnictwa, ani hodowli bydła, ani ogrodnictwa; nie zwiększą środków zarobkowania. Włościanin nasz potrzebuje przedewszystkiem nauki fachowej. Dotychczas wszystko, co się robi na polu szkolnictwa w zakresie szerzenia wiedzy rolniczej, ma na celu gospodarstwa wielkie i średnie; szkoły takie dostarczają kierowników do wielkich obszarów lub wykonawców (ekonomów, dozorców itd.) i jakkolwiek do niższych zakładów uczęszczają przeważnie synowie włościan na koszt kraju, rzadko kiedy wracają do własnego gospodarstwa, na którem nie mają co robić. Kółka rolnicze, i Wydział krajowy posyłają wędrownych nauczycieli, którzy rzadko kiedy miewają więcej nad kilkunastu słuchaczów, a jeszcze rzadziej któryś z nich korzysta z tych nauk. Taka droga nauczania, jako pomocnicza, byłaby bardzo dobrą i pożyteczną, jako cel główny przynosi pożytek minimalny i trzebaby — według teraźniejszych rezultatów sądząc — sto lat czekać, zanimby owoce tej pracy stały się widoczne.

Wszystkie te usiłowania dopiero wówczas przyniosą pożądany skutek, gdy drogą ustawodawczą lub przymusową zmieni się system teraźniejszego gospodarstwa włościańskiego, tj. skasuje się trzypolówka. Wprowadzoną ona została niegdyś jako system doskonały i takim była. Właściciel ziemi i chłopów podzielił grunty włościańskie tak samo, jak swoje, ale wielka i średnia własność w Europie od lat stu, a u nas blizko od pięćdziesięciu system ten zarzuciła, bo ekonomiczne warunki życia zmieniają się, muszą przeto zmieniać się i systemy produkcyi. Otóż wszystko poszło naprzód, a włościańska trzypolówka została, bo zmianą jej nikt nie interesował się od czasu zniesienia pańszczyzny. Zmniejszano podatki, regulowano rzeki, sprowadzano rozplodniki dla ulepszenia bydła, ale zapomniano o rzeczy najważniejszej—o zmianie systemu. Wyglądało to zupełnie tak, jak gdyby ktoś osuszył grunt pod budynki gospodarskie, ażeby zapobiedz rozszerzeniu się grzyba, pobudował stajnie i stodoły—ale nie miał ani zboża, ani bydła, któreby w tych pięknych budynkach mógł przechowywać.

Jakiż system gospodarstwo włościańskie powinno zaprowadzić u siebie, ażeby bez obcej pomocy, samą siłą rzeczy, mogło wydobyć się z tego gnuśnego położenia, w jakiem się obecnie znajduje? Stanowczą odpowiedź na to pytanie może dać tylko uczeń po szczęśliwym ostatnim egzaminie w szkole rolniczej. Ażeby na to odpowiedzieć dobrze, należałoby tom napisać — na co nie myślę bynajmniej tracić czasu. Istnieje tyle systemów, ile warunków gospodarstwa; każdy może sobie wybrać najodpowiedniejszy, byle miał możność mechaniczną, że tak powiem, przeprowadzenia go. Jedynym środkiem na to może być tylko *przymusowe*, przez *rząd* podjęte i przeprowadzone uporządkowanie gruntów. Chodzi przedewszystkiem o to, ażeby dać gospodarzowi możność posiadania własnego kawałka w jednej całości, a zmuszenia go niejako do wyprowadzenia się ze wsi, gdzie mu grozi pożar bez własnej winy, marnotrawstwo mienia na gorzałkę i marnotrawstwo czasu na przejazd do swego pola, do którego brak najczęściej drogi. Rady powiatowe na to żadnej uwagi nie zwracają — znam takie — a włościanin jeden drugiemu zajeżdża łąki i pola. Ile z tego powodu bójek, procesów, gwałtów, ten tylko wie, kto na to patrzy. Uporządkowanie gruntów da *możność* wprowadzenia lepszego systemu gospodarstwa rolnego i pozwoli włościaninowi zużytkować czas wolny we własnej zagrodzie, gdy teraz przepędza go w karczmie. Szlachcic, po zniesieniu pańszczyzny, mając na względzie oszczędność robocizny i łatwiejszy dozór, sam powoli dążył do uporządkowania swoich gruntów — dokupnem, zamianą itp., a włościanin pozostał na łasce trzypolówki, skrępowany nią jest ciągle i z tych więzów sam wydobyć się nie może — trzeba go wydobyć, trzeba od tego zacząć.

Podziwiamy bezustannie gospodarstwa niemieckie, a nie uwzględniamy tego, że większość malutkich państewek przed stu laty prawie przeprowadziła według specyalnej bonifikacyi podziały gruntów włościańskich i wyznaczyła nowe działy w jednym kawałku. Wtedy dopiero rozwinęło się rolnictwo, uprawa traw, hodowla bydła i sadownictwo, gdyż gromady wiejskich łobuzów nie mogły już wędrować od sadu do sadu, jak dawniej, niszczyć owoce i drzewa.

Kiedyż w Galicyi pomyślą o tem wielcy reformatorowie systemów podatkowych, uważający za reformę i ratunek od nędzy — zniżenie podatku?

Cho.

NIE TĘDY DROGA!

II.

Jak wspaniałomyślnym jest ks. Niedziałkowski, że pozwala kobietom *zamożniejszym* zdobywać naukę wyższą, „a później nawet część jakąś czasu jej poświęcić." Mogą one traktować ją jako rozrywkę, nigdy zaś brać poważnie, bo natura umysłu kobiecego nie pozwala na to. „Zwykłem dość jest zjawiskiem, że kobiety w młodości i dzieciństwie mają wielką ochotę i wielkie zdolności do nauki, początkowe wiadomości chłoną z chciwością i wszystko zrazu idzie dobrze i gładko; gdy studya dojdą mniej więcej do wyższych klas gimnazyalnych męzkich, lot staje się bardziej ociężały; wreszcie gdy trzeba przejść do nauk wyższych, gdzie coraz konieczniejsza jest synteza, siły opuszczają kobietę i albo się cofa, albo z najwyższym postępuje wysiłkiem."

Zdania to autor wygłasza na mocy własnego doświadczenia, jako pedagog. Nie wiem doprawdy, czy z nauki katechizmu i obrządków kościelnych można wnosić o bystrości lub tępości umysłu. Ja osobiście przyszedłem wprost do odmiennych spostrzeżeń, czynionych na sobie i swoich kolegach: im bardziej się rozszerza widnokrąg wiedzy, im więcej pochłaniają umysł nauki ogólnie kształcące, żywotne, tem mniej on jest podatnym do przyjęcia martwych i suchych, zamkniętych w pewnej sumie frazesów lub twierdzeń. Co zaś do zdolności umysłowych kobiet, na większą wiarę zasługują zdania i spostrzeżenia pedagogów, którzy wykładają właśnie te nauki ogólnie kształcące, żywotne. Twierdzą oni mianowicie, że kobiety należą do najlepszych studentów i nietylko nie pozostają w tyle za mężczyznami, ale nawet ich przewyższają. „Mniej niż mężczyźni są skłonne do przedłużania kursów — pisze rektor uniwersytetu wiskonsińskiego; średni zaś poziom wiedzy tych, które zdążyły całkowicie skończyć nauki, jest wyższy, aniżeli mężczyzn patentowanych." Profesor uniwersytetu kolumbijskiego zaznacza, że w r. 1884 kobiety dopuszczono do medycyny i „oddziałów naukowych," a w r. 1887—do akademickiego. „Wszystkie bez wyjątku zaliczyliśmy do najlepszych studentów; wpływ ich był tylko dodatni." Profesor uniwersytetu w Techas ie twierdzi, iż wiele młodych dziewcząt ujawniło szczególnie wybitne zdolności do nowych najtrudniejszych dziedzin matematyki wyższej. Dodam jeszcze, że tam, gdzie niema zawiści mężczyzn, stwierdzono, iż wspólna nauka usunęła lekceważenie, wyrażane względem zdolności i produkcyjności pracy kobiecej. Młodzież męzka przez lat cztery śledząc rezultaty kształcenia się koleżanek, nabiera większego dla nich szacunku i zupełnie ufa siłom swych przyszłych współpracownic na szerszem polu działalności ekonomicznej i społecznej.

Tymczasem ks. Niedziałkowski twierdzi, że kobieta nie może być dobrym lekarzem ani technikiem, „bo umysł jej nie zdoła należycie objąć całości tych nauk." Jeżeli wszakże kobieta dąży tą drogą, czyni to z wielkim wysiłkiem, nieprzynoszącym korzyści odpowiedniej. „Lekarki bywają posyłane do Indyj lub Bośnii i są tam dla kobiet miejscowych pożyteczne, bo lepszy rydz niż nic — ale poważnej konkurencyi z mężczyznami wytrzymać nie są zdolne." Niestety, i temu płytkiemu twierdzeniu zaprzeczają fakty, których tutaj, gdyby nie brak miejsca, mógłbym setki przytoczyć.

Ks. Niedziałkowski jest zażartym przeciwnikiem lekarek, a jednocześnie powstaje na niemoralność i „spoganienie" płci żeńskiej, żąda odrodzenia jej i oczyszczenia przez kościół. Sam wszakże staje po stronie — niemoralności: z jego zdań wygląda myśl: kobiety stanowczo powinny porzucić medycynę, wszystkie zaś chore, bez względu na rodzaj cierpienia, muszą bezwarunkowo poddać się specyalistom mężczyznom.

Gabinety lekarzy-specyalistów nie są retortą do wyrabiania moralności. Na obronę ich wszakże dodam, że rasa polska jest powściągliwsza i szlachetniejsza, niż inne na zachodzie Europy, nie mieliśmy więc procesów kryminalnych, jak naprzykład w Zürichu dr. Rudolf Meyer, docent uniwersytetu miejscowego, który popełniał gwałty na swoich pacyentkach, jedna zaś skutkiem tego targnęła się na własne życie. Dodam nawiasowo, iż sąd skazał go bardzo łagodnie, bo na 8 miesięcy wieży i 6,000 fr. grzywny dla „poszkodowanej," nadto pozbawił prawa praktyki na lat pięć.

Uprawianie przez kobiety medycyny ma tedy znaczenie nietylko „emancypacyjne," lecz i moralne. Pomimo bowiem „spoganienia" społeczeństwa, wiele jeszcze jest kobiet, które zachowały jedną z cech swego człowieczeństwa i godności: wstydliwość. Wolą one raczej śmierć, niż poddanie się badaniom specyalisty. Tej cechy zwalczać w nich niepodobna, zwłaszcza że jest sposób ratunku: dać im sumienną i zdolną lekarkę. Prawda, że są u nas takie kobiety, które zachowując moralność fizyczną, obrały sobie gabinety

lekarskie jako sport i są nieprzejednanemi nieprzyjaciołkami swej płci na usługach medycyny. Lekarze nasi na swoją obronę mówią, że kobiety same im się narzucają. Tak bywa istotnie, ale o tę trzecią kategoryę nam nie chodzi. Pierwej czy później, znajdą one sposobność „narzucenia się“ komukolwiek.

I tutaj rzeczywiście lekarzy oskarżać nie można, tak samo jak nie można pociągać do odpowiedzialności gościa w jadłodajni za to, że zjadł befsztyk z kradzionego wołu. Lekarze w znacznej większości cnoty kobiet nie kradną, bo można jej dostać wszędzie na funty i łuty bez najmniejszego trudu. Tak jest dziś, w społeczeństwie chrześciańskiem, tak było przed wiekami za panowania poganizmu. Kobietę zawsze traktowano jako towar-ciało. Różne postacie ustroju społecznego i kultury znieprawiły ją, oddały na pastwę masom samców, którzy, jak np. fanatycy VI wieku, utrzymywali nawet, że kobieta nie ma duszy, pomimo że chrześcianizm, jak chce ks. Niedziałkowski, podniósł ją z upadku i otoczył szacunkiem. Przez długi szereg wieków była ona zawsze wystawiona na sromotę, z tą różnicą, że np. za czasów pogańskich oddając się na pastwę mężczyzn, myślała, iż popełnia czyn święty i religijny. Dziś zmieniły się tylko akcesorya. Kobieta pod opieką sakramentu sprzedaje się mężczyźnie, gwoli zabezpieczenia wygodnego bytu. Jest towarem-ciałem, który pomimo uczynionych zastrzeżeń — wierności dozgonnej, może być cząstkowo, postronnie sprzedawany i wynoszony ze sklepiku cnoty domowej. Są i wagi fałszywe w tym handlu: inna moralność dla każdej płci.

Dzisiaj, po wielowiekowej poniewierce kobieta usiłuje pozbyć się haniebnej cechy towaru, chce być człowiekiem, nie jedynie samicą rozpłodową. Fanatyczni wrogowie jej „wyzwolenia“ z tego piętna hańby pomieszali różne hasła i dążności i ochrzcili je ogólną nazwą „emancypacyi“ lub „feminizmu.“ Trzeba być ślepcem, płytko traktującym życie i jego objawy, ażeby nie dostrzedz różnic, żeby brać i uogólniać ten ruch, który panuje śród pewnej garstki rozpróżniaczonych kobiet „z towarzystwa,“ patrzących na świat z po za półmroku swych buduarów. Takie zapominają o swej deklamacyi i „hasłach,“ gdy np. w skarbcu wiedeńskim zobaczą brylanty cesarzowej Elżbiety. Oczy ich pożądliwe nabierają blasku tych kamieni, które przechodzą do duszy, mózgu i serca. To także piętno hańby, objaw dziedziczny: mężczyzna kupował ciało-kobietę za świecidła i drogie kamienie, ubierał w szaty kosztowne i ozdobne, ażeby bez szat widzieć. Rzeczywisty ruch „emancypacyjny“ kobiet to jest poważne zjawisko na tle kulturalnem, etycznem, ekonomicznem i społecznem; to dążność do wyzwolenia jej z poniewierki moralnej; to chęć podniesienia i wypielęgnowania pierwiastków duchowych, zdobycia nie pożądań dla ciała, lecz czci dla *człowieka.* Ta dążność jest żywiołowa, związana ze wszystkiemi zjawiskami bytu i rozwoju społeczeństw. Wszystkie drogi, które siłą ogólnego rozwoju i doskonalenia się prowadzą kobietę do tego celu, ks. Niedziałkowski uważa za zgubne i widzi tylko jedną: *Per crucem ad lucem*! Hasła tego przez długi szereg wieków nadużywano. Jest ono nieraz środkiem do znieczulania sumienia, a śród kobiet — do zmazywania na starość grzeszków, popełnianych za młodu. Rozwiązywać za jego pomocą zagadnienia, związane z żywiołowym rozwojem i bytem ogólnym, może tylko fanatyzm. Bylibyśmy nie zwrócili na niego uwagi, gdyby nie to, że zagwożdża on głowy ludzi niezbyt skłonnych do myślenia samodzielnego.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Naturalne instynkty i nienaturalne związki.

Gromadka nadgranicznych mieszkańców Królestwa Polskiego, zaopatrzonych w kartki paszportowe, udała się do Gniezna na uroczystość św. Wojciecha. Dostrzegłszy ten najazd, gęsi kapituły pruskiego zagęgały alarmująco, a konsulowie, czuwający nad bezpieczeństwem państwa, które posiada paromilionową armię i „boi się tylko Boga,“ kazali schwytać pielgrzymów, osadzić ich w więzieniu, a następnie odstawić do granicy. Zawiązał się z tego powodu między prasą polską a niemiecką zwykły w takich sprawach dyalog: pierwsza wykazała, że pątnicy mieli dowody legitymacyjne i w żadnym razie nie zasłużyli na brutalne traktowanie, a przedewszystkiem na więzienie, druga zaś zasłoniła swoją władzę przepisem, niedozwalającym na podstawie kartek (przepustek) odsuwać się od granicy dalej, niż trzy mile. Naturalnie dyalog ten nie doprowadził do żadnego porozumienia, a tem mniej do jakiejś satysfakcyi dla pokrzywdzonych, sądzę jednak, że w każdym człowieku ucywilizowanym pozostawił wrażenie wstrętnego gwałtu.

Przytoczyłem ten wypadek nie jako przedmiot do szczegółowego rozbioru, bo podobnych zdarzają się setki, ale jako wymowny przykład stosunków ludzkich w ogólniejszym zakresie, o których pragnę kilka słów powiedzieć.

Cały świat, nie wyłączając Niemców, od których wielokrotnie zdanie to słyszałem, uważa Prusaków za jeden z najgorszych gatunków rodzaju człowieczego. Podrzutki historyczne, potomkowie nieprawych połączeń plemiennych, wyrośli rozbojem, zbogacili się grabieżą, a rozwinięte w tych zabiegach instynkty przechowali dotąd. W dziejach swoich nie posiadają wspomnień i tradycyj wysokich nastrojów duszy zbiorowej, które byłyby dla nich szkołą uczuć i pobudką do czynów szlachetnych; w rozwoju kultury powszechnej przyjęli udział zdumiewająco mały, a tę cienką jej warstwę, która okrywa ich przyrodzone barbarzyństwo, pożyczyli albo od innych szczepów germańskich, albo od innych narodów. O ile Niemiec był w cywilizacyi czynnikiem ogromnym, o tyle Prusak prawie niczem w niej się nie zaznaczył. Gdybyśmy z rachunku odtrącili jego zwycięstwa orężne i policzyli tylko zasługi w dziedzinie nauki, sztuki, instytucyj społecznych, stanąłby on z drobną ich wiązeczką na szarym końcu ludów europejskich.

Dzięki politycznemu zjednoczeniu się i zlaniu szczepów germańskich, podszywa on swoją jałowość cywilizacyjną pod ich sławę, stroi swoje barbarzyństwo ich świetnemi piórami i przywłaszcza sobie ich geniusz, którego nie zrodził. Z naturą i pożądaniami owych olbrzymich wężów, które swoimi zwojami duszą i połykają ogromne zwierzęta, w tym kierunku wytęża on całą swą czujność, przebiegłość i siłę. Kto zblizka i długo przypatrywał się nowożytnemu Prusakowi, ten bez trudu zauważył jego uprawę w sobie i uwielbianie w innych jedynie potęgi materyalnej. Dla jednostek i państw, które je posiadają, ma przyjaźń, szacunek lub cześć, a dumniejszym jest z wysokiego wzrostu, szerokich piersi, z atletyzmu fizycznego, niż z najwyższych uzdolnień duchowych.

Nie z przypadku i nie pod wpływem chwilowego wynaturzenia się opinii zabrzmiało zuchwale po raz pierwszy i jedyny w dziejach okropne hasło tytana pruskiego: „siła idzie przed prawem.“ Nie przez swe powodzenie polityczne człowiek, który nazywał moralność „sentymentalizmem,“ który gardził wszystkiem po za przewagą pięści, o którym pewien dyplomata angielski powiedział, że nigdy nie spotkał istoty ludzkiej tak ogołoconej z uczuć humanitarnych, nie przez swe tryumfy — mówię — człowiek taki stał się bożyszczem Prusaków, ale przez wcielenie w sobie typowych właściwości tego szczepu, przez ścisłe z nim pokrewieństwo natury. I chociaż cała rzesza ludów germańskich skorzystała z jego czynów, miłością odpłaciła mu za nie tylko ściślejsza jego ojczyzna, znamiennie tytułująca się i tytułowana ojczyzną „junkrów.“

Przypominając te cechy gatunkowe Prusaka, nie tyle mam na względzie wykazywanie jego niższości cywilizacyjnej, ile przedewszystkiem odrębności antropologicznej. Mniejsza o to, czy on jest gorszy, czy lepszy od innych typów rodzaju ludzkiego, ale pomyślmy, czy te inne, jakiekolwiek zresztą, przy najlepszych chęciach, największych wysiłkach i najcięższych ofiarach mogą z nim żyć w braterstwie, przyjaźni lub bodaj tylko zgodzie?

Stanowczo — nie. Źródłem największych i najliczniejszych błędów polityki było i jest lekceważenie psychologii. Mając ciągle do czynienia z materyałem żywym i niezmiernie rozmaitym, postępuje ona zwykle tak, jak gdyby układała kombinacye i tworzyła związki z pierwiastków martwych i jednorodnych. Dla braku miejsca nie mogę tu rozwinąć szerzej mojego poglądu i muszę poprzestać na krótkiem zaznaczeniu, że skutkiem owej nieskończonej rozmaitości istot ludzkich człowiek żyje ciągle sam. Zawiązujemy między sobą stosunki, czasem bardzo ścisłe, upodobniamy się do siebie przez wspólność warunków życia, klimat, wychowanie, wykształcenie, język, historyę, cele jednostkowe i społeczne; usiłujemy różnice między sobą wyrównać przez naukę, rozumowania, dogmaty itd., a wszystkie te czynniki niewątpliwie wywierają wpływ asymilujący; pomimo to wszakże w każdym z nas tkwi zawsze jakaś reszta, która zachowuje naszą odrębność i nie pozwala nam być tak podobnymi do innych, jak równowymiarowe linie, powierzchnie lub bryły. Zdaje nam się, że w długiem obcowaniu utożsamiamy się, że zapomocą dowodów i logiki przekonywamy się wzajemnie; rzeczywiście w pewnej mierze tak jest, ale tylko w pewnej mierze i to nie tak wielkiej, jak zwykle mniemamy. Owa niesprowadzona do wspólnego mianownika reszta pozostaje bardzo znaczna. Wzrasta ona zaś proporcyonalnie do stopnia rozwoju jednostek: między prostemi jest mniejsza, między doskonalszemi większa. Otóż jeżeli ona istnieje śród najbliżej spokrewnionych rodowo, śród najmocniej związanych uczuciowo i myślowo, to jakże musi być olbrzymią śród odmiennych szczepów, ras i kultów!

Ona też nam tłomaczy ciągłe objawy nienawiści, wybuchy walki i czyny gwałtu między społeczeństwami różnorodnemi. Prusak jest brutalny, bezwzględny, dla uczuć i pobudek humanitarnych niedostępny, ale on przedewszystkiem ma inną naturę, niż Słowianin i dlatego przy każdej sposobności go nęka. Pod wpływem hypnotycznym interesu lub jakiegoś uniesienia ta nienawiść w nim zasypia, ale szybko się budzi, wysuwa pazury i dusi swoją ofiarę. Hakatyści przedstawiają rzeczywiście niski gatunek człowieczy, ale w tym swoim gatunku nie stanowią okazów zwyrodnienia moralnego, tylko

odmiany silniej ujawniających się instynktów rasy. Są oni względem łagodniejszych swoich rodaków tem, czem tygrysy wobec kotów domowych. Prasa w obecnej srogości pruskiej, w rozwiązywaniu stowarzyszeń polskich, w rozpędzaniu zgromadzeń, w aresztowaniu pielgrzymek, w gnębieniu wszelkich objawów życia narodowego upatruje jakiś „nowy zwrot," gdy tymczasem jest to dawna i zupełnie naturalna kolej. W tych czynach Prusak nie gra komedyi, nie udaje obłudy, nie kryje się, jest sobą i okazuje swą nienawiść do każdego, kto nie jest nim, a zwłaszcza do Słowianina i Polaka.

Nie chcę mnożyć daremnie rzucanego grochu na ścianę i nie będę dowodził tego, co już wielokrotnie udowodniono, że państwa wprowadzające do swego organizmu obce przymieszki, których szybko strawić nie mogą, nietylko nie dają życzliwej opieki tym odmiennym pierwiastkom, ale skazują siebie na długoletnie wyczerpywanie sił w walce, któreby lepiej i korzystniej zużytkować mogło. Dziś bowiem z powodu świeżych wypadków, które wywołują wrzawę, chodzi mi tylko o wskazanie, że one leżą najzupełniej w naturze stosunku dwóch szczepów i że raczej przeciwne, mianowicie objawy przyjaźni ze strony Prusaków dla Słowian uważać należy za sztuczne i krótkotrwałe. Dopóki dwa te gatunki antropologiczne istnieć będą, dopóty mocniejszy będzie się pastwił nad słabszym. I dlatego wszelkie prusko-polskie lojalizmy, które zresztą bardzo szybko bankrutują, wszelkie polityczne śluby, które prędko rozwodzą się, wszelkie te dziwaczne związki są tylko szeregiem dowodów dziecięcej naiwności. Słowianom w jarzmie pruskiem pozostaje tylko to, co wołom: albo chodzić kornie w zaprzęgu, albo z niego się wyłamać, ale nie myśleć o braterstwie, które jest niemożliwem. Nowocześni krzyżacy pragną tylko strawienia połkniętych kawałków słowiańskich i niczego innego pragnąć nie mogą ani ze swoich potrzeb, ani ze swoich instynktów. A jeżeli ta prawda była niezrozumiałą dla „stańczyków poznańskich" w chwili, gdy wznosili toasty „kochajmy się" na cześć swych „przyjaciół pruskich," to ostatnie wypadki przyszłym tego rodzaju zaślepieńcom powinny odjąć nadzieję i odwagę. Trzeba tę lekcyę zapamiętać.

Poseł Prawdy

BADANIA NAUKOWE.

JESZCZE O ORGANIZMIE SPOŁECZNYM.

III.

Krusiński dowiódł, że społeczeństwa współczesne nie są organizmami; oczywistem jest jednak, że to dowodzenie pozostawia zupełnie nierozstrzygniętem pytanie, czy wogóle społeczeństwo jest organizmem. Teorya jego nie wyklucza bynajmniej twierdzącej na nie odpowiedzi: widzieliśmy, że w tym wypadku klasę społeczną należałoby uważać za organizm; w jego granicach odszukać i wykazać procesy, odpowiadające rozwojowi organizmu: podział pracy, jedność i świadomość itd. Co więcej, choć z pism Krusińskiego trudno stanowczo wywnioskować, czy uważa on rzeczywiście pierwotną wspólnotę rodową za organizm, czy też posługuje się jej podobieństwem do organizmów tylko w celu wykazania sprzeczności „organiczników"-indywidualistów w rodzaju Spencera, jednak zważywszy na jego wiarę w istnienie „duszy społecznej," sądzę, że faktycznie gotów on był uważać za organizm społeczeństwo, któreby posiadało wyliczone powyżej cechy zasadnicze. Zgodnie ze swojem stanowiskiem, odmawiał on tylko społeczeństwom nowożytnym jedności duszy i przypuszczam, że przypisywał osobną „duszę" — osobną np. etykę—każdej klasie. To właśnie różni go od Wormsa, z którym natomiast byliby w zupełnej zgodzie co do istnienia wogóle „duszy masowej" — świadomości, czyli ściślej: osobowości społecznej. Worms powiada nawet, że wszystkie zarzuty przeciw teoryi organistycznej dadzą się sprowadzić do tego twierdzenia, iż społeczeństwo jest „jednostką fikcyjną," iż nie posiada osobowości. Z drugiej strony on sam, a za nim i prof. A. Traczewskij w przedmowie do tłomaczenia rosyjskiego „Organizmu i społeczeństwa" (Petersburg, 1897), mniemają, że jedynie upodobnienie społeczeństwa do organizmu jest w stanie rozwiązać zasadniczą sprzeczność socyologii: zależność jednostki od społeczeństwa i naodwrót.

Sprzeczność ta nieraz już była roztrząsana przez socyologów. W ostatnich czasach wyraziła się ona w rozgłośnej a zaciętej polemice dwóch najwybitniejszych socyologów francuskich: Tarde'a i Durkheima. Durkheim uważa społeczeństwo, a raczej świadomość społeczną za wynik połączenia się jednostek, lecz za coś odrębnego od sumy świadomości jednostkowych, istniejącego objektywnie, niezależnie od jednostek, wywierającego na nie wpływ decydujący. Świadomość społeczna odbija się tylko w każdej jednostkowej, ale jest odrębna od każdej z nich i od wszystkich razem. „Gdy odrzucimy jednostki — powiada—pozostanie nam społeczeństwo." Natomiast Tarde nazywa to wprost ontologią scholastyczną; świadomość społeczna jest tylko abstrakcyą, która nie istnieje w rzeczywistości; istnieją tylko świadomości osobnicze, które stają się sobie w głównych zarysach podobne przez naśladownictwo; ze stanów jednostkowych można i należy wyprowadzić objaśnienie wszelkiego zjawiska ogólnego, a panujące poglądy i nakazy udzielają się nowym indywiduom również jedynie przez naśladownictwo otaczających je. Konsekwentnie Tarde jest też stanowczym przeciwnikiem teoryi organizmu społecznego i twierdzi nawet nieco paradoksalnie, że zwolennikiem jej może być tylko „milirysta" lub wogóle ktoś, kto poświęca jednostki dla społeczeństwa

Worms stara się—jak we wszystkiem—zająć stanowisko pośrednie. „Istnieje — powiada w jednem miejscu — świadomość społeczna, składająca się z identycznych części świadomości jednostkowych." A gdzieindziej: „Istnienie jakiejś siły objawia się w jej skutkach. Jeśli są zjawiska, których nie można pojąć inaczej, tylko jako wytwory zbiorowego ducha społeczeństwa, to istnienie tego ducha nie ulega wątpliwości." I wreszcie: „Świadomość społeczna nie jest całkiem oddzielona od świadomości jednostkowych, ale jest czemś więcej, niż ich zestawieniem."

Nie podejmiemy tu oczywiście długiej, jakby należało, rozprawy o kwestyi tak zasadniczej i nad którą tyle już zapisano papieru; chcąc wszakże doprowadzić do końca określenie pozycyi teoryi organistycznej wobec jej krytyki, musimy w kilku słowach wypowiedzieć swój pogląd na tę sprawę, a raczej, przyłączając się do poglądu Tarde'a, wykazać sofizmaty, zawierające się w powyższych twierdzeniach Wormsa. Istnieniu bowiem „ducha społecznego," jako siły, nikt nie przeczy; chodzi tylko o to, czy ta siła ma objektywne istnienie, czy też jest poprostu wypadkową sił jednostkowych? Nie przeszkadzałoby jej to bynajmniej sprawiać tych samych skutków, a przecież prawdą by było, że nie ma w duszy społecznej nic, czegoby nie było w duszach członków społeczeństwa. Ma być w niej „coś więcej": psychologia masy jest odmienną od psychologii składających ją indywiduów. Tak: bo bierzemy psychologię jednostki z chwili, gdy jest ona odosobnioną. Ale to samo twierdzenie da się inaczej sformułować: psychologia jednostki wśród tłumu jest inną, niż gdy ta sama jednostka jest samotną, a więc dusza tłumu jest poprostu sumą dusz jednostek, przekształconych przez zetknięcie z innemi. Jak i dlaczego przekształconych?—to już kwestya nowa i zbyt obszerna, należąca do psychologii tłumu, która wcale nie traci swych praw z utratą ontologicznego pojęcia duszy zbiorowej.

Tarde idzie dalej: powstaje wogóle przeciw temu rozpowszechnionemu przez biologię i chemię mniemaniu, że całość może mieć własności odmienne, niezależne niejako od swych składników. Nie znamy zupełnie — powiada — wewnętrznej natury atomów, a ośmielamy się twierdzić, że w powstałej z nich cząsteczce jest coś nowego*). Dodajmy, że o ile ją poznajemy, to termochemia stara się wyprowadzić własności nowego związku z własności jego składników. Nie znamy — mówi dalej Tarde — wewnętrznej istoty komórki, a wierzymy, że nasze *ja* jest czemś od nich zupełnie odrębnem, po za niemi istniejącem...

Zatrzymajmy się przy tem ostatniem zdaniu.

Nie uznajemy istnienia duszy społecznej; mniemamy zatem, że społeczeństwo nie jest organizmem. Powoli — odpowie nam Worms. Organizm złożony jest również z indywiduów: komórek. „Ciało nasze jest złożone z tysięcy miliardów maleńkich istot żyjących, różnorodnych, mających każda swą samodzielność — mówi Klaudyusz Bernard.—Własności życiowe mieszczą się w rzeczywistości jedynie w komórkach żyjących, wszystko reszta—to mechanizm. Elementy anatomiczne — są to prawdziwe organizmy elementarne." Świadomość jednostkowa powstaje w ten sam sposób ze świadomości komórkowych, co świadomość społeczna z jednostkowych. Dlatego to właśnie porównanie społeczeństwa z organizmem ma wyjaśniać zawiłą kwestyę tworzenia świadomości społecznej przez jednostki, a jednostkowej — przez społeczeństwo. „Jeśli zaprzeczacie rzeczywistemu istnieniu społeczeństwa, jako istoty zbiorowej, musicie tak samo zaprzeczyć rzeczywistości człowieka, komórki, nawet ciała nieorganicznego i atomu, bo wszystkie te jednostki są złożone i podzielne — i odwrotnie." To samo mówi Tarde: albo antologia społeczna, albo — monadyzm.

Jeśli zgodzimy się na to stanowisko w psychologii jednostki, to pozostanie nam tylko raz jeszcze stwierdzić, że zespolenie jednostek jest w łonie organizmu znacznie doskonalsze, niż w społeczeństwie: pomimo bowiem usiłowań Tarde'a, aby wykazać, że w każdej chwili świadomość i wola społeczeństwa zbiega się w umyśle pewnej jednostki, jak organizmu—w jednej z komórek mózgu, w rzeczywistości jedność świadomości i woli jest zjawiskiem bardzo rzadkiem nawet w obrębie tej samej klasy. Po za tem będziemy musieli przyznać, że radykalnej różnicy między współżyciem komórek w organizmie, a jednostek w społeczeństwie — niema.

Dr. Worms ułatwia nam to zresztą swoją pojednawczością, czy — jak kto woli — trzeźwem umiarkowaniem. Nie należy on bynajmniej do tych „uczonych," co szukają nóg, rąk, żołądka i głowy społeczeństwa, ani nawet „substancyi międzyko-

---

*) P. w t. I „Rocznika inst. socyologicznego": „La Sociologie elementaire."

mórkowej," któraby zastąpiła bezpośrednią styczność jednostek w tym organizmie. Wystarcza mu w tym wypadku łącznik współzależności ekonomicznej i podobieństwa natury jednostek, chociaż w innych wypadkach zanadto, niestety, odstępuje od tej zdrowej zasady i dopatruje się, np. w gieldzie — serca społecznego. Odparłszy w pierwszych dwóch rozdziałach w sposób przekonywający zarzuty tych, co chcą widzieć nieprzebytą przepaść między naturą komórki a jednostki, organizmu a społeczeństwa, wykazawszy, że nawet „wolna wola" jest zasadniczo jednakowa u istot żyjących i u komórek, i że jednakowy stosuje się do niej w jednym i drugim wypadku determinizm, natychmiast kładzie on nacisk na to, że społeczeństwo można tylko upodabniać do organizmu, lecz nigdy utożsamiać z niem. Społeczeństwo jest „organizmem organizmów," składniki jego są same bez porównania bardziej złożone, niż komórki organizmu, a przez to samo i stosunki między niemi muszą być bez porównania liczniejsze i różnorodniejsze. W tym więc supra-organizmie, jakim jest społeczeństwo ludzkie, znajdziemy zjawiska, najzupełniej obce organizmowi, którego przykład mieliśmy w łączniku „homokratycznym."

(D. n.).

Kazimierz Krauz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Hipolit Taine: *Carnets de voyage* (Zeszyty podróżne). Paryż, 1897.

W 1863 r. Hipolit Taine został mianowany egzaminatorem języka niemieckiego dla młodzieży, chcącej wstąpić do szkoły wojskowej w Saint-Cyr. Z urzędem tym (sprawowanym do 1865) połączona była konieczność objeżdżania latem całej Francyi.

Zatrzymując się w najrozmaitszych miejscowościach, Taine spisywał wrażenia, chcąc je ogłosić drukiem, jak to uczynił po podróży w Pireneje, a potem do Włoch i do Anglii. Lecz dalsze prace pochłonęły go wkrótce i do wydania nie przyszło. Notatki jednak były o tyle zupełne, że nakładca Hachette mógł, nie zmieniając ich w niczem, przedstawić publiczności. Rozumie się, książka nie robi wrażenia całości. Ale kto zna poprzednie dzieła Taine'a, kto lubi jego jasność stylu, wrażliwość na wdzięk przyrody, odczucie dzieł sztuki i arystokratyzm duchowy, ten znajdzie owe zalety i w „Zeszytach podróżnych."

Poczynają się zawsze od Douai.

Miasto owo niegdyś flamandzkie zachowało dawne cechy: smak artystyczny i zaciszność. Ulice czyste, domy miłe, skończona schludność. Wszędzie przestrzeń, wszędzie zamiłowanie do wygody i piękna. „Nic nie trąci haniebnym mieszczuchem środkowej Francyi."

Słońce tu łagodne, powietrze przejrzyste, niebo modre. Rano bialuchno ubrane dzieci idą z matką do szkółki, rozwozicielki jarzyn i robotnicy podążają ochoczo, miasto, ludzie i przyroda nawet w zwykły dzień nie zdejmują szat niedzielnych.

Przez osadę przewija się rzeka Skarpa. „Ale milszą jeszcze jest mi za miastem. Trzciny wodne z kitami u wierzchu, niezrównanie świeże, szumią, szumią przy brzegach. Rzeka kręci się poważna, zbrużdżona długiemi czarniawemi falami, śród dwóch rzędów topól, przecięta tu i owdzie przez duże czółno. W chwili, kiedy wracaliśmy, zachodzące słońce wynurzyło się znowu i różowe połyski, jakby tryumfująca radość, pokładły się na zasmuconą zieleń."

„Jaka przyjemność dla mnie, który przybyłem z pyłu Paryża, iść tą długą ulicą tak czystą, przy tej wodzie tak zdrowej, prawie nikogo nie spotykając, prawie w pełni milczenia."

Choć osobowość Taine'a nie występuje naprzód, jednak od czasu do czasu spotykamy wywnętrzenia. Warunki, w jakich znajdował się wówczas, nie były najmilsze. Porzucił niedawno stanowisko profesora w gimnazyum, czuł wciąż odrazę do niewolnego życia urzędniczego. Doznał przykrości jako wolnomyślny. Nieświetny stąd nastrój uśmierzały wielce cisza i piękno przyrody.

Z Douai droga wiedzie przez brzydką Pikardyę, następnie przez Normandyę i ciepłą zroszoną rzekami Touraine ku południowi. W La Fleche, niedaleko od Tours, znowu przyroda przemawia wędrowcowi do serca. Szeroką równiną, oblewając wyspy, skąpana w świetle, płynie Loira. Brzeży ją łagodna zieleń, wysoko w górze rozpięty nad nią namiot lazuru, a po lazurze żeglują niby łabędzie puchy, chmurki.

Niepodobna oddać uroku, spokoju, słodyczy tego krajobrazu. Potrzeba by tu Decampsa lub Corota. Niebo jest otwarte w łagodnej krzywiźnie jak świecąca muszla perłowa; szerokie zwierciadło wodne odsyła mu światło, obie jasności spotykają się nad ziemią i zlewają w powietrzną zasłonę, przezroczystą, miękczącą wszystkie zarysy."

Od Bordeaux zaczyna się południowa część Francyi. Inny lud, inny kraj.

Wzdłuż Garony przez szeroką równinę, pokrytą zbożem, tytuniem i konopiami do Tuluzy, znowu równiną, gdzie błyszczą zaczerwienione pola kukurydzy i wzgórza oblekа winograd do Cette. Tu morze już rozlewa się. „Naraz z wierzchołka spostrzegasz otwarte wspaniałe morze o błękicie łagodnym i delikatnym, porannym i dziewiczym. Nie widać mgły, a jednak jest; lecz jej muszlin tak subtelnie przezroczysty, że widnieje tylko na widnokręgu, gdzie zlewają się morze i niebo. Słońce, podnosząc się, tworzy złote jezioro drżące i mieniące się na jedwabiu nieruchomych fal. Wszędzie zresztą lazur, lazurowe niezmierne morze, przestronne niebo. Małe barki dalekie i siwawe ruszają się nieznacznie, jak mewy."

Odtąd czy w Cette, czy w Marsylii, czy w Montpellier morze jest przedmiotem zachwytu Taine'a. „Potrzeba tu przybyć na trzy miesiące, a można wyleczyć się z wszelkiego smutku." „Najpiękniejsze pomysły greckie przychodzą mi na myśl: hymeny bogów, marmurowe ciała leżące między trzcinami, podczas gdy fale całują swą pianą stopy bogin." „W tem świetle— o którem nie ma wyobrażenia syn Północy — można dopiero zrozumieć początek malarstwa."

I dziwne, choć autor „Hist. literatury angielskiej" nie znał „Sonetów krymskich," nieustannie i rokrocznie morze jest dla niego.

Jak marząca o szczęściu narzeczona młoda...

Mniejsze półkole, niż z Douai do Marsylii, zatacza Taine z Marsylii do Reims i do Nancy. W ogólnych zarysach podróże jego przez trzy lata były te same, zdarzały się jednak wycieczki w bok. Najpiękniejsze w 1864 do Saint-Malo i do Arcachon.

W Saint-Malo, miasteczku bretońskiem, spotykamy się z innem morzem. Chłodny Atlantyk toczy zaciekłą walkę z lądem, szarpie i wycina skały, przewala się przez nasypy, odpryskuje od grobel. W Arcachon bór sosnowy i krajobraz jakby z zamierzchłych epok.

„Jest to jeden z widoków, jakie mieli pierwsi ludzie: dziewicza ziemia, piaski i wciąż piaski. Sosny, potem znowu sosny, kilka oczeretów, kilka smug roślin, pnących się między żywicznymi pniami, pierwotny grunt: ił morski, obrosły jedynym rodzajem roślin; potem wielka woda, jego matka, owijająca go swoimi fałdami i niebo olśniewające świetlaną białością. Naokoło bagna kawały wybrzeża piaszczystego i błyszczącego, to zalewane, to wysychające, nie ludzkiego: dzieło nagie i dzikie. Pierwsza wegetacya, jeszcze zupełnie barbarzyńska na opuszczonem łożu wielkiej pierwotnej wody.

Kiedy pierwsi żeglarze przybyli tu na swoich pirogach, znaleźli może kilka czapel, mewę, kanię, jak ta, co przed chwilą krążyła nad modrzyzną fal w przepychu promieni rozlanych wśród białości. Wylądowali, ich stopy grzęzły jak nasze w piasku; słyszeli ten sam dźwięczny śpiew szumiących wierzchołków; te same szpilki trzeszczały pod ich stąpaniem, podziwiali ten sam biały kolor gruntu, dziurawiący co chwila chudy kobierzec spragnionych traw; drżeli, wsłuchując się w dziwną ciszę, zatrzymali się przed jakąś olbrzymią sosną, napół ogołoconą z konarów, przez piorun, samotną na szczycie nagiego pagórka. Kraj nie zmienił się od ich przybycia."

Zatrzymałem się dłużej nad krajobrazami Taine'a, bo stanowią główną cechę „Zeszytów." Co kilka stron spotykamy je, pisarz z natury poetyczny, w zaznaczonych warunkach jeszcze chciwiej chłonął krasę przyrody. Co kilka dni egzamin, znużenie, gwar miejski; jakże błogo potem znaleźć się wśród zieleni, nad rzeką, pod słonecznem niebem. Marzenie zaś arcachońskie jest jedną z próbek pięknych obrazów, w jakie obfitowała wyobraźnia tego poety, zamkniętego w studyach dziejowych i literackich, z których kilka rzucił na papier i podczas podróży po Francyi.

Ale nietylko na przyrodę umiał Taine patrzeć. Książka jego choć urywkowa, jest bogatą w treść. W miastach zwiedza on muzea, ogląda zabytki budownicze: wyczerpujące są opisy katedr w Amiens, w Reims, w Nantes, w Strasburgu. Niema od starożytności do naszych dni działu architektury, któregoby nie zrozumiał: ruiny rzymskiego teatru w Orange, groby z pierwszych epok chrześcianstwa, kościoły romańskie, gotyckie, Odrodzenie znajdują w nim znawcę i tłomacza.

To samo należy powiedzieć o wszystkich zabytkach malarstwa.

Tenże artysta wgląda i w życie współczesne. Bawi czasem doszukiwanie koniecznie typu antropologicznego każdej okolicy, niekiedy w określeniach charakterów prowincyonalnych wysuwa się widoczna sprzeczność. Ale w ogólności wyróżnia Taine szczęśliwie główne cechy prowincyj, zwłaszcza o ile są pochodzenia dziejowego. Francya, zlepiona z wielu ziem, nie posiada jednolitości. Douai i Amiens, to dawna Brabancya, oddzielona od Holandyi i Belgii, ale spowinowacona z niemi. Pikardya, Beauce, Bretania — ziemie barbarzyńskie w porównaniu z tamtemi. Dość przeczytać opis miasta Rennes u Taine'a. Południe od Bordeaux zbliża się pod względem charakteru do Włoch. Brud, życie na ulicy, gadatliwość, przebiegłość. Wolne hrabstwo, długo hiszpańskie, przypomina kraj za Pireneami. Lotaryngia ze stolicą Nancy, „najszlachetniejszem i najmilszem miastem Francyi" każe pamiętać dotąd o błogich rządach Stanisława Leszczyńskiego. A Strasburg dziś oderwany, czy do Francyi bardziej zbliżony, czy do Niemiec?

Rozsypane w różnych miejscach uwagi malują także żywo byt prowincyi. Mają one nietylko znaczenie historyczne: stosunki prowincyonalne zmieniają się i we Francyi tak powoli, że większość spostrzeżeń Taine'a do dziś sprawdza się.

Przedewszystkiem ogromna przewaga kleru. W Tuluzie siedemdziesiąt siedem klasztorów na sto tysięcy ludzi; w Marsylii 30 wielkich klasztorów kobiecych. W Poitiers 38. Często biskup lub arcybiskup wywierają większy wpływ na rządy prowincyi, niż władze.

Wielki zastój. Nigdzie ogniska sztuki, nauki, oświaty. Kilku zbieraczy lub antykwaryuszów, ratujących się w ten sposób od zupełnego spleśnienia. Wydziały uniwersyteckie ledwie dyszą. Poszczególne warstwy społeczne trzymają się oddzielnie, wszystkie zresztą zatopione w tymże roślinnym bycie.

I tylko dla szarzyzny i pospolitości raj. „Czujesz dobrze, raz tylko przeszedłszy przez miasto prowincyonalne, jakim jest stan społeczny Francyi, jak całość narodu stoi nizko, jak blizko jest poddanych i mieszczan średniowiecznych. Miejsce szlachty zajęła teraz biurokracya; ta daje masie zgóry i nie pytając o nic, rynki, gimnazya, trybunały, masa nie dąży do niczego więcej, jak do drobnego życia mieszczańskiego i do dobrej sprzedaży zboża.

„Smutny wytwór — mówi o mieszczuchach gdzieindziej — nasze społeczeństwo jest jak ogród, gdzie sadzi się tylko marchew i kapustę, nigdy brzoskwiń, ani pomarańcz.“ W systemie konkursowym, który daje pierwszeństwo lada kowalowi nad prawdziwemi zdolnościami, „giną prawdziwe, wielkie studya.“ Dosadnie piętnuje system protekcyjny: „Gentlemana nie masz we Francyi. Patrzeć tylko na tych grubych urzędników i właścicieli, którzy czołobitnie przychodzą prosić o względy dla synów na niekorzyść innych. Bezwstydni czy delikatni, zawsze są przekonani, że żądają rzeczy naturalnej, chociażby była jak najnieuczciwszą.“

Gniewa go zamknięte życie Francuza, niedopuszczanie obcych do koła rodzinnego. Wielokrotnie przytem przypomina mu się wszystkiem Anglia i Ameryka z kultem wielkich ludzi, z otwartą głową, z osobistą energią i z popieraniem talentów.

I niemniej ciekawe wreszcie otwieranie swojej duszy dość rzadkie w jego dziełach. Wskazałem je, tu przytoczę jeszcze kilka zdań charakterystyczniejszych:

„Twierdzą, że jestem arystokratą—mówi w jednem miejscu — o tyle to prawdziwe, że nienawidzę życia bez wielkich i pięknych rzeczy.“

„Dla umysłów podniosłych najważniejsza rzecz nie wpaść w żywot mieszczański. Lepiej oddzielić się od wszystkich i być samotnikiem, niż budystą Woepko.“

W. Bugiel.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Michał Bałucki: *Niewolnice*, komedya w 4 aktach.

Była najpierw powieść *Pan burmistrz z Pipidówki*, szczypiąca Galicyę za metodę jej autonomii. Po latach przerobił autor powieść na komedyę i przeróbkę tę pod skróconym tytułem odegrano teraz na scenie warszawskiej. Teatr zrobił swoje, przedstawiając rzecz niby nową Bałuckiego; ale czy i on też zrobił swoje, pisząc *Niewolnice?* Zrobił. Nieskończenie wyższy w swej przeszłości i w powieściach, niż w swej teraźniejszości i w komedyach, któremi ją wypełnia, *swojem* nazwać on ma prawo robienie fars, a że *Niewolnice* są farsą, więc sprawa jest w porządku. W nowej tej farsie Bałucki mierzy w kobiety, aby ostatecznie ugodzić w mężczyzn. Najsilniejszy nawet daje się złapać w sieć przewrotności niewieściej; słabi są powolnymi pantoflami swych najdroższych. Na jednych i na drugich sprawdza się maksyma: „my rządzim światem, a nami kobiety“ — teza nader sympatyczna i rozumna. Wzbogaca ją inna, współrzędna, ośmieszająca emancypacyę feministyczną. Pokazawszy kilkanaście maryonetek, poruszanych sprężynkami bardzo lichych pobudek i celów, każe później Bałucki widzowi patrzeć na trzy straszydła, przedstawicielki postępowego kierunku. Myśl obyczajowa w ten sposób splata się wdzięcznie a przekonywająco ze społeczną, i dostajemy utwór dojrzałego pisarza, który napatrzył się już i w gromadę ludzką i w krzątające się w niej drobne robaczki, i w wieku, gdy człowiek przecież skończonym już chyba być musi, przerabia poważne *adagio* życia na wesołe walczyki i galopady.

Cyrkowy styl tych fars Bałuckiego niezmiernie się publiczności podoba i dlatego też autor jako jej dobry a życzliwy znajomy, robi ciągle w cyrkowości postępy. W *Niewolnicach* jest już cała grupa efektów, w cyrku największą uciechę sprawiających dzieciom. Usiadł p. Filatyński na ciastkach, niesionych dla ukochanej żony: pani profesorowa pozrzuca mężowi na podłogę rękopisy i książki, które on jej pod szczególną oddał opiekę. Rozśmieszy publiczność szczotką, froterowaniem i śpiewką Waluś: na coś lepszego zdobędzie się sam p. burmistrz z Pipidówki, bo cała sala do rozpuku śmiać się zacznie, gdy ten p. Grzmotnicki grzmotnie o ziemię najpierw jeden talerz, potem drugi, trzeci i czwarty. . i gdyby mu tylko rekwizytor pozwolił, potrzaskałby cały tuzin. Trzeba przecież dzieci zabawić, a dzieci stare muszą być wybredniejsze od młodych: daje im też Bałucki starannie wyszukaną, wybredną uciechę. Lekarz Dmuchalski np. mówi p. profesorowej: „połóż się pani“ i dopełnia badania chorej na scenie, przy widzach, wdzięcznych autorowi za taką oryginalność. Bogactwo pomysłów widać i w dwukrotnem śniadaniu, w owych niezrównanych „flaczkach“ pani Grzmotnickiej i w koniakach czy cherosach p. Dmuchalskiej — mających niby symbolizować rozluźnienie się jej obyczajów.

Taki jest rodzaj sztuki: poznawać treści nie warto, poznać jej nawet niepodobna, bo jej nikt w sztuce tej nie znajdzie. Napróżno też szukałby kto charakterów i tego, co się po aktorsku nazywa rolą. Protekcya dam niejednego już podrzuciła w górę i posadziła wysoko. Tutaj zadanie ułatwiły owe sprężynki, bez których Bałucki nie umie już robić swych lalek. Wszystko to, raz nakręcone, porusza się już składnie i bawi wzrok, słuch, nawet powonienie. Cel sztuki osiągnięty. Mówicie: Taka publiczność, jacy poeci. Fałsz! Tacy poeci, jaka publiczność. Chce bzdurstw i głupstw, więc je ma. Pisarz jest tylko producentem, jak fabrykant czekolady lub pachnideł. Taki wyrabia towar, jakiego żądają. Podaż i popyt—to mi prawo świata! Reszta — głupstwo.

Czego to komedyopisarze francuscy nie wyrabiają ze swoją publicznością, a nikt przecież na nich nie krzyczy. Bałucki tylko bawi, psuć nie ma zamiaru. Wielki sofista, Dumas syn, mnóstwo dusz niewinnych połapał i powrzucał do piekła. Bałucki nie zasadzał się nigdy, nie czyhał na niewiniątka: chciał tylko ludzi rozweselać, a gdy ich zgrzebłem satyry skrobał, to tylko udawał, że skrobie. Serce dobre, rozsądek wiernie pełniący swą służbę, talent niepospolity, zrozumienie mechanizmu człowieczeństwa powszedniego, rodzajowego, niezdolnego wzbić się na wyżyny indywidualizmu i jakiejś odświętności pojęć i uczuć, doskonałe— najważniejszy dar komedyopisarza: i przytem wszystkiem taka sztuka, po której nic nie zostanie prócz kopcia na teatralnych kinkietach, jeśli go kto zbierać zechce. I pomyśleć tu, że życie ma tak wielkie otchłanie i mroki, takie rany i wrzody; że przekleństwo natury ludzkiej potęguje jeszcze złe wyrządzane przez samego człowieka — człowiekowi i zbiorowości ludzkiej, i że synteza tego wszystkiego znajdzie się w farsie! Czy to fatum jakieś rządzi człowiekiem, czy też człowiek nie umie rządzić sobą? Przypominam sobie Bałuckiego z przed lat już blizko czterdziestu, przemykającego mi się tylko przed oczyma; pamiętam tego autora powieści poetycznych i liryków wcale rzewnych i wdzięcznych; nie zapomniałem i Elpidona. Patrzę teraz na autora *Niewolnic*, *Emancypowanych*, *Gąsek* i zadaję sobie pytanie: jaki proces psychologiczny sprowadził to, co było, do tego, co jest? Miałem złudzenie, że i starość, jeśli jeszcze żyje, to tylko młodością swoją żyje, tem, czego wiek dojrzały z niej nie roztrwonił, a z jej uczuciowego posiewu rozumem wyhodował. Dziś niema co: trzeba się pozbyć złudzenia. Na co zwiędłe kwiaty chować?

Taka sztuka, jaką daje od wielu już lat Bałucki, psuje nietylko publiczność, ale i artystów. Komedya Francuska tem się jedynie trzyma, że w niej Macbeth, Hamlet, Cezar, nawet Świętoszek, nie potrzebuje być takim Fikalskim, Grzmotnickim, Dziszowskim. U nas widać już skutki działania sztuki bezmyślnej i na same mechanizmy aktorskie. Trudno opowiedzieć, jak to wszystko krzyczy, rzuca się, grubemi pędzlami, za przykładem samego autora maluje, jakie to wszystko niesforne jest i wyuzdane, z wyjątkiem jednego tylko p. Frenkla (Dmuchalski) i może p. Szymanowskiego (Feliks). P. Junosza nabrała jakiegoś basu, czy barytonu, z którym w operetce byłoby jej lepiej, niż w komedyi.

D. 8 b. m. w Teatrze Wielkim odbył poranek benefisowy, uroczystość większa dla p. Wolskiego, niż dla publiczności poranko wej. Dano na tem przedstawieniu dwa ułamki z dawniej już, kilkanaście lat temu napisanego dramatu p. Stanisława Kozłowskiego *Esterka* i farsę Fredry „młodego,“ który już nawet starym być przestał, bo z grona żyjących ubył, Jana Aleksandra *Oj młody, młody!* Bawiono się strojami i konceptami; ale najmilszą zabawę miał p. Wolski, któremu publiczność szczerze podziękowała za 25-letnią działalność na scenie.

Stanisław Krzemiński.

W DALI.

Kalisz. Od pewnego czasu miasteczko Dąbie w gub. Kaliskiej zaczęło szybko chylić się ku upadkowi. Doszło do tego, że zamożni niegdyś obywatele miasteczka domy swoje i grunty wyprzedają i idą szukać gdzieindziej szczęścia, którego w upadającem ognisku rodzinnem znaleźć nie mogli. Coraz większa ilość mieszkań stoi pustką, są nawet domy całe, opustoszałe zupełnie, skutkiem czego niejeden mieszczanin, zamożny dawniej, stracił źródło dochodów, a nie pozbył się ciężaru utrzymywania domu w porządku. Skutkiem tego wartość domów znacznie spadła, a mimo to nabywców na nie niema. Oto znamienna charakterystyka stosunków, podana przez *Gazetę Kaliską*: „Pewien właściciel domu, nie mogąc odebrać od lokatora zaległego komornego, udał się do niego i naprzód delikatnie dług przypomniał, następnie zapowiedział, że musi wyrzucić go sądownie z mieszkania, ponieważ niema dochodu z domu, a jednak podatek płacić musi.“ Otrzymawszy odpowiedź: „Nie

mam,“ gospodarz wpadł w gniew, ale po chwili ochłonął i zaproponował niewypłacalnemu lokatorowi układ następujący: „W takim razie, moi drodzy, zabierzcie żonę i pójdźcie ze mną do rejenta, ja wam zapiszę ten dom, a wy będziecie płacili podatki i dom reparowali.“ Projekt podobał się lokatorowi, ale kiedy już wyraził gotowość udania się do rejenta, żona zatrzymała go, wołając: — Komornego możesz nie płacić, a podatki musisz... Gospodarz wyszedł i... nie wyrzucał lokatorów, gdyż był pewnym, że innego lokatora nie znajdzie.“ Często się też w Dąbiu zdarza, że gospodarz niewypłacalnym lokatorom pokrywa koszty przeprowadzki i daje zadatek na nowe mieszkanie, byleby tylko pozbyć się ich z domu.

Dąbrowa Górnicza. Przemysł wzrasta nieustannie, właściciele wielkich przedsiębiorstw rozszerzają swoją działalność i obroty; wzrastają jednocześnie gwałtowne i pilne potrzeby ludności robotniczej, które jednak nie są zaspokojone. Brak np. przytułku dla kalek i zniedołężniałych, brak kąpieli, brak kasy przezorności i oszczędności dla oficyalistów. Potrzebna ona jest tembardziej, że lichwa rozwielmożniła się ogromnie. Zarząd zaś Huty Bankowej postanowił karać za nią... swoich pracowników, tj. wydalać tych wszystkich, na których pensye będzie nałożony areszt sądowy. W ten sposób wygnano już ojca rodziny z dziećmi i chorą żoną, pomimo że przedsiębiorstwu temu poświęcił czternaście lat życia. Ale na takich panów istnieje prawo, którem należałoby okiełznać ich wyzysk i krzywdzenie pracowników.

Kowno. W całej gubernii skutkiem przesilenia rolniczego odłużenie ziemi stale i szybko wzrasta. R. 1889 liczono ogółem 833 majątki, obejmujące 325,460 dzies., zastawione w bankach wileńskim i tulskim na sumę 10 milionów rs. Obecnie już liczba dóbr zastawionych dosięgła 1,959 na sumę przeszło 15 milionów rs. Na ziemi całej gubernii cięży około 19 milionów rs. długu, oprócz pożyczek, wydawanych przez Bank szlachecki dla pewnej kategoryi właścicieli. Zwiększa się również suma długów na nieruchomościach miejskich, skutkiem wzrastającego stale ruchu budowlanego. W całem Kownie przedsiębiorców opanowała gorączka. Przed kilku laty banki wydawały na nieruchomości miejskie pożyczki do 60% szacunku. Skutkiem współzawodnictwa pomiędzy instytucyami kredytowemi, ocenę domów, a więc i pożyczki zaczęto szybko zwiększać, do czego przyczyniały się jeszcze i fałszywe wykazy dochodów właścicieli. Jakoś dziwnie jednocześnie zaczęły się szerzyć pożary. Strawiły one już mnóstwo domów wysoko ubezpieczonych, a ich właściciele zrobili na tem świetny interes. Przed kilku laty tak samo urządzali się właściciele domów w Mińsku: palili je i za pieniądze otrzymane z ubezpieczenia, wznosili ładne i zyskowne kamienice. — Działy włościańskie, odbywające się po za granicami prawa, obożą coraz bardziej ludność. Tak np. w pow. Szawelskim po reformie było 14,804 gospodarstw włościańskich; w r. 1895 liczba ich [illegible] już do 34,143. Wobec prawa [illegible] nie jest podzielona; faktycznie jednak działy rodzinne rozdrabniają grunt tak dalece, że z czasem wytworzą się na nim posiadacze grzęd.

Petersburg. W sprawie banku handlowo-komisyjnego skazani na następujące kary: Rein na rok i 4 miesiące do rot aresztanckich; Duchinow i Cyon na pozbawienie wszystkich praw i zesłanie na osiedlenie na Syberyę; Potlin i Slepuszkin na pozbawienie szczególnych praw i przywilejów i zesłanie na mieszkanie do gubernii Irkuckiej z przedstawieniem o zamianę tej kary na zesłanie do gubernii Tomskiej, a następnie do Archangielskiej. Wszyscy wypuszczeni za poręczeniem. Uniewinnieni trzej: Kaługin, Proticyn i Kaniecki. — Departament lekarski projektuje urządzenie w wielkich miastach stacyj chemicznych, w których można będzie pod[illegible] próbom wszelkie produkty spożywcze. Byłoby to istotnie urządzenie niezmiernie ważne dla ludności, która skutkiem nadużyć w handlu, narażona jest na stratę zdrowia, a nieraz nawet życia. Stacye takie istnieją już dawno w miastach francuskich i niemieckich. — W roku bieżącym mają być wprowadzone bilety na przejazd 5,000 wiorst, ze znaczną zniżką taryfową. Służba wagonowa będzie na nich odznaczać ilość wiorst przejechanych. Taka postać biletów będzie ogromnem udogodnieniem, gdyż pozwoli korzystać z różnych kolei i różnych przestrzeni.

— Komitet budowy pomnika Mickiewicza ma zaszczyt podać do publicznej wiadomości, że otrzymał zezwolenie Generał-Gubernatora J. O. Ks. Imeretyńskiego w odezwie z d. 19 kwietnia s. s. 1897 r. № 418 na wzniesienie pomnika Mickiewiczowi na placu publicznym w Warszawie, oraz na zbieranie potrzebnego funduszu drogą składek.

Komitet, zostający pod prezydencyą mianowanego z urzędu ks. Michała Radziwiłła, zorganizował się, wybierając na wiceprezesa Henryka Sienkiewicza, na skarbnika Leopolda Kronenberga i na sekretarza Zygmunta Wasilewskiego. Biuro i kasa Komitetu mieszczą się w domu L. Kronenberga (Mazowiecka, 22).

Bliższe szczegóły, dotyczące zbierania składek, wkrótce będą ogłoszone.

Warszawa, 6 maja 1897 r.

Wiceprezes *Henryk Sienkiewicz.*

Sekretarz *Z. Wasilewski.*

KRONIKA.

Od Redakcyi. W jednym z ostatnich numerów *Tygodnika Ilustrowanego* autor artykułu sprawozdawczego o dziele Maksimowa *Sybir i Katorga* zapowiada, że przetłómaczy trzeci tom tej pracy. Otóż donosimy, że przekład jej w całości już został dokonany i że wkrótce zacznie wychodzić w bezpłatnym dodatku do *Prawdy*. Ponieważ polskie wydanie dzieła Maksimowa wymagało uprzedniego załatwienia pewnych formalności, tłómacz z *Tygodnika* łatwo przekonać się może, że powzięliśmy tę myśl znacznie wcześniej od niego i że — według naszych informacyj — tom III osobno nie wyjdzie.

Wiadomości społeczne. Senat wyjaśnił, że urzędnicy zarządu naukowego w Królestwie Polskiem, którzy przesłużyli lat 10, jak również ci, których służba nie dosięgła tego terminu, przy wyjściu z niej powinni otrzymywać pensye emerytalne według etatów posady zajmowanej.

— Według spisu jednodniowego, ludność całego państwa, bez Finlandyi i niektórych odległych części Syberyi i Kaukazu, wynosi 127 milionów.

— Generał-gubernator wileński w odezwie do komisyi, roztrząsającej ustawodawstwo włościańskie, orzekł, iż konieczną jest rzeczą, ażeby w kraju Północno-Zachodnim licznie zamieszkali po wsiach Żydzi i mieszczanie ulegali władzy zarządów gminnych. (*Peterb. Wied.*).

Szkoły. Zwracamy uwagę rodziców i ich synów na zawiadomienie przełożonego niższej Szkoły Technicznej E. Święcimskiego (Smolna 14): „Ci młodzi ludzie, którzy życzyliby sobie zdawać egzamin na kurs 2-gi Szkoły Technicznej (z trzema wydziałami: budowlanym, mechanicznym i chemicznym) czy razem z uczniami szkoły od 14 maja r. b., czy też oddzielnie we wrześniu, winni wykonać w warsztatach szkolnych pod dozorem profesorów i majstrów, rysunki i roboty programowe, przepisane ustawą dla każdego wydziału i kursu — pierwsi, tj. pragnący zdawać egzamin w maju, po egzaminach piśmiennych i ustnych, drudzy, tj. mający zdawać egzamin we wrześniu — od maja, a najpóźniej od czerwca. Po zadawalającem wykonaniu powyższych robót, pierwsi, tj. zdający egzamin w maju razem z uczniami, jeśli zdadzą egzaminy piśmienne i ustne, będą zapisani na kurs drugi; drudzy zaś dopuszczeni zostaną w połowie września do egzaminów piśmiennych i ustnych. Miejsc wakujących na kurs drugi przewiduje się około 30. Interesowani winni jak najśpieszniej zgłaszać się do kancelaryi szkoły po bliższe informacye, aby roku nie stracić. Dla mających zdawać egzaminy we wrześniu zarząd szkoły wskaże pomoc naukową. Przypomina się również, że egzaminy wstępne przedwakacyjne na kurs 1-szy będą się odbywać tylko dwa razy: 12 i 13 maja, tj. w środę i czwartek i 2 i 4 czerwca r. b.“

— Władza gimnazyalna przyjmuje podania tej młodzieży, która pragnie osobno składać egzaminy przed wakacyami, aby ze względu na słabe zdrowie mogła wypocząć przez lato i oddać się kuracyi.

— Ministeryum oświaty poruszyło sprawę wzmocnienia dozoru nad szkołami prywatnemi.

Sądy. Izba sądowa charkowska rozstrzygnęła sprawę byłego kasyera połtawskiej kasy gubernialnej, radcy dworu Staryckiego, oskarżonego o roztrwonienie 33,195 rs. Skazano go na utratę wszystkich praw i przywilejów i na zesłanie do Syberyi na lat 7.

Koleje i komunikacye. Na sesyi ministeryum komunikacyj, poświęconej projektom budowy nowej kolei, przyjęto projekt nowej linii od stacyi Dąbrowica kolei Poleskich na odnodze Łuniniec-Równe do Kijowa lub Chwastowa. Projekt budowy linii od Dąbrowicy do Kowla już zatwierdzono. Za pośrednictwem drogi Dąbrowicko-Kijowskiej powstanie najprostsza linia Kijowsko - Warszawska, prawie o trzecią część krótsza od teraźniejszej, prowadzącej przez Rowne, Berdyczów i Koziatyn. Obecnie podróż kuryerem z Warszawy do Kijowa trwa około 20 godzin; w przyszłości będzie trwać tylko godzin 14. Linia uproszczona będzie miała bardzo ważne znaczenie ekonomiczne dla Królestwa Polskiego Polesia i prowincyj czarnoziemnych.

— Od 15 czerwca wchodzi w wykonanie nowa taryfa osobowo-bagażowa w komunikacyi bezpośredniej pomiędzy Petersburgiem, Moskwą, Warszawą a Calais-Douvrem, Ostendą, Flissingen przez Wierzbołów i Aleksandrów.

— Stacye miejskie kolejowe w Petersburgu, Moskwie i Warszawie upoważniono od 15 b. m. do załatwiania wszelkich formalności, nie wyłączając celnych, w interesach podróżnych w komunikacyi bezpośredniej rosyjsko-angielskiej.

— Kolej Ostrołęcko - Pilawska otwarta będzie w październiku.

Zdrowie publiczne. Dżuma w Indyach słabnie. W Bombaju zdarza się dziennie tylko 15 wypadków śmierci.

— Sezon leczniczy w Ciechocinku trwać będzie od 20 maja do 20 września. W Busku rozpocznie się 22 maja.

Gospodarka miejska. Komitet budowy kanalizacyi i wodociągów musiał przyjąć niedogodną dla miasta ofertę na dostawę piasku do filtrów. Na dogodniejsze warunki dostawy liczyć nie można było, gdyż skutkiem znanych rozporządzeń co do jazdy w mieście, ruch podwód jest obecnie znacznie powolniejszy, niż dawniej, co zwiększa koszty dostawy i odstręcza przedsiębiorców.

Wystawy i zjazdy. Zapowiedziana na czerwiec w Warszawie wystawa inwentarza składać się będzie z trzech działów: pierwszy przeznaczony wyłącznie dla koni, drugi dla bydła rogatego, owiec, trzody chlewnej, psów i drobiu; trzeci dla przedmiotów, mających związek z hodowlą koni i zwierząt gospodarskich tudzież z ich pracą i karmieniem.

— Między 10 a 20 czerwca w Warszawie otwarta będzie wystawa introligatorska. Oprócz firm krajowych biorą liczny udział zagraniczne.

— W Wenecyi otwarto drugą międzynarodową wystawę sztuki.

Przemysł i handel. Ministeryum rolnictwa utworzy biura wywiadowcze w celu uregulowania cen zbożowych, które obecnie w rozmaitych miejscowościach państwa stanowią różnice, sięgające nieraz 30 – 50%.

Sekcya rolna. Na posiedzeniu majowem p. Jelski poruszył sprawę ochrony leśnej tudzież odczytał referat o koniu. Położył on nacisk na potrzebę ujednostajnienia hodowli. Węgry, dzięki temu, że wytworzyły taką jednolitość chowu koni, stały się w Europie głównym krajem wywozowym. U nas poważnym odbiorcą może być wojsko. Należy tylko zbadać jego wymagania i stosownie do nich pokierować hodowlę. P. St. Kempner wygłosił odczyt p. t. „Kwestya rolna,“ w którym biorąc za punkt wyjścia

wywody i teorye H. George'a o rencie gruntowej i jej znaczeniu w ustroju społecznym, wykazał przebrzmiałość tych dowodzeń i następnie scharakteryzował zależność rolnictwa od ustroju kapitalistycznego, przedewszystkiem od techniki handlowej, i organizacyi spekulacyjnej. Jako środki ratunku, proponuje pomoc państwową w zakresie uprzystępnienia owej techniki handlowej, środków komunikacyjnych, odpowiedniej fabrykacyi, wybudowania elewatorów państwowych w połączeniu z warantami, stworzenia kredytu, popierającego przedsiębiorstwa przemysłowo-rolne itd. Nadto zaleca pracę samoistną rolników, przedewszystkiem działalność zbiorową kooperacyjną, specyalizacyę i rozbudzenie zmysłu kupieckiego.

Śniegi. Według depeszy z d. 8 maja, w okolicach Insbruku i Zürichu spadły wielkie śniegi. Owoce i winnica ucierpiały „skutkiem mrozu“ W Gorycyi, Karyntyi i Krajnie zamieć śnieżna przerwała komunikacyę kolejową i telegraficzną. W Tyrolu i Salzburgu (według depeszy z 12 maja) aż do samego Wiednia spadły obfite śniegi. U nas w wielu okolicach również padał śnieg.

Zmarli. Julian Łętowski (Władysław Książek), w Warszawie, autor utworów dramatycznych, nowelista i dziennikarz.

— Godfryd Ossowski, w Tomsku, pracownik na polu archeologii przedhistorycznej i przyrodnik.

— Stanisław Vittelius Zieliński, w Otwocku, dziennikarz.

Od kolonij letnich. Szesnasty rok z rzędu wypada nam odwołać się do ofiarności publicznej, w celu zapewnienia dzieciom najuboższej ludności Warszawy korzystania w ciągu lata r. b. z dobrodziejstw świeżego powietrza i zdrowego posiłku.

Zwiększając corocznie liczbę dzieci, wysyłanych na wieś staraniem Kolonij Letnich, w roku ubiegłym dosięgnęliśmy pokaźnej cyfry 2,000; stosunkowo do potrzeb i warunków naszego miasta jest to zaledwie część, która nie czyni zadość potrzebie.

Uzyskawszy pozwolenie Władzy do dalszego prowadzenia Kolonij Letnich i zbierania na ten cel ofiar, z całą wiarą odwołujemy się do naszego społeczeństwa, wiedząc dobrze, jak chętnie śpieszy zawsze z pomocą potrzebującym.

Kolonie Letnie przez lat piętnaście istniały i rozwijały się kosztem zbieranych ofiar i w tym roku przeto przystępujemy do roboty z niezłomną nadzieją, że oczekiwania ubogich rodziców, nie mogących własnymi środkami ratować swych dzieci, zawiedzione nie zostaną, a ilość wysłanych na wieś przewyższy liczby dotychczasowe.

W celu zebrania potrzebnego funduszu odwołujemy się do ogółu z uprzejmą prośbą o przyczynienie się ofiarą do dzieła, którem wnosi się zdrowie i pociechę pod dach naszych uboższych braci.

Ofiary składane być mogą na ręce Skarbnika dyrektora Aleksandra Czajewicza w biurze Dyrekcyi Tow. Kred. Miejskiego (Włodzimierska 25), w biurze Kolonij Letnich (Nowy-Świat 42) na ręce osób niżej wymienionych, a nadto w redakcyach czasopism.

Brzezińska Emilia, Hugersberger W., Karłowiczowa Irena, Krysińska Jadwiga, Krzycka Marya, Natanson Leonia, Pawińska Jadwiga, Szadkowska Wiktorya, Werner Jadwiga, Czajewicz Aleksander, Konic Henryk, Kosmowski Wiktoryn, Kuczyński Antoni, Lubowski Henryk, Markiewicz Stanisław, Natanson Antoni, Skłodowski Władysław, Święcicki Julian Adolf, Tanenbaum Leon, Wieniawski Julian.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 2 Мая 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8